Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1878 Rok I.

Inseraty mające styczność z łowiectwem, przyjmują się za opłatą 10 ct. od wiersza.

Rękopismów nie zwraca Redakcya bez poprzedniego zastrzeżenia autora.

ŁOWIEC

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRZEDPŁATA
półroczna . złr. 2·50
roczna . . „ 5·—

Członkowie Towarzystwa odbierają bezpłatnie.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

LIS

przez
Władysława Zawadzkiego.

Zwierzęta podobnie jak człowiek mają swój rozum, pewien stopień zdolności umysłowych, wrodzone cnoty i przywary, któremi się rozmaite gatunki zwierząt różnią pomiędzy sobą. Podobnie jak napisano charaktery rozumów ludzkich, możnaby skreślić charakterystykę rozumów zwierzęcych, odróżniających się od rozumu ludzkiego tem, że gdy człowiek swe wrodzone zdolności umysłowe wszechstronnie i samodzielnie kształcić jest zdolen, rozum zwierzęcy podobnie jak wszystkie zresztą przymioty, jakkolwiek znamionują się także pewnemi cechami osobistemi w każdem zwierzęciu, w ogóle muszą już z natury swej rozwijać się jednostronnie, zawsze w tym samym kierunku, siłą wrodzonego instynktu, który z tego powodu bardzo trafnie po polsku zmusem nazwano. Toż wilk pozostanie zawsze żarłocznym i srogim, bóbr przemyślnym budowniczym, pająk wieczyście podług jednego wzoru snuć będzie podziwiająco misterne sieci, a pszczoła miodem woskowe napełniać komórki. Ileż to zdumiewających objawów rozumu i że tak powiem zwierzęcego artyzmu, ile zmyślności, ujętej w ramy wrodzonego instynktu.

Do najzmyślniejszych zwierząt, z któremi ma do czynienia myśliwy w kniei i na otwartem polu, należy znajomy dobrze wiejskim kurnikom lis niepoczciwy. Przebiegły, przezorny, obliczający z góry przyczyny i skutki, przewidujący niebezpieczeństwo, obdarzony ogromną pamięcią i zdolnością orjentowania się, zdumiewa bystrością dowcipu, którym góruje nad innemi zwierzętami. Ale podziwiając zmyślność, brzydzimy się zarazem jego podłością. Pod względem moralnym lis jest nikczemnikiem w całem tego słowa znaczeniu. Chytry samolub, obłuda jego poszła w przysłowie, a on sam jest godłem podstępu i chytrości w słowniku allegorycznym. Istnie złodziejska dusza, wszędzie się wciśnie, podlezie, przyczai. Złodziej nie z potrzeby, ale z rzemiosła — kradnie choć nie potrzebuje, nawet wtedy, gdy nie jest głodny. Zdobycz swą dusi okrutnie z łakomstwa raczej i złodziejskiego instynktu, a nasyciwszy się resztę zakopuje, niespożytkowawszy.

Lis podobnie jak wilk i szakal, należy do rodzaju psa, ale pokrewieństwo to dowodzi tylko, jak dalece członkowie jednej rodziny, najbliżsi krewni, różnić się mogą pomiędzy sobą tak powierzchownie jak moralnie. Lis różni się od swego krewniaka, psa domowego, nie tylko włosem i bujną kitą, budową czaszki, szpiczastą mordą, i ukośnie wykrojonemi oczami, ale stokroć bardziej moralnemi, a raczej niemoralnemi przymiotami swej zwierzęcej natury. Pies to stworzenie poczciwe, miłujące, przywiązane, otwarte, narażające się w interesie i obronie swego pana, nawet z własnem niebezpieczeństwem, gotów zawsze do poświęceń, szczery, otwarty, przymiotami swemi każe się kochać i szanować. Przeciwnie, co tylko może być obłudy, samolubstwa i nikczemności, to wszystko znajdujemy w lisie. Ale za to intelligencyą, rozumem, przebiegłością, lis stoi tak wysoko jak mało które stworzenie świata zwierzęcego. Te przymioty wyróżniające go od zwierząt pospolitych, zapewniły mu nawet prawo obywatelstwa w literaturze i w baśni ludu. Myśliwi powtarzają sobie tysiące sztuczek lisich. Jego życie i sztuczki dostarczały najznakomitszym pisarzom przedmiotu moralnej nauki z nich wysnowanej. La Fontaine i Krasicki wprowadzali go nieraz w swych bajkach, podobnie jak i wszyscy inni mniej znakomici bajkopisarze. Lis pogardzający kwaśnemi winogronami, przeszedł w przysłowiową tradycyę. Goethe napisał cały poemat o lisie, będący wyborną satyrą. Mamy przekład jego w polskim języku. Niemiecki *Reinecke*, podobnie jak i nasz *Mykita*, stał się tedy bohaterem pieśni i podania, zjednawszy sobie ten zaszczyt swym krętym dowcipem i innemi, co prawda nie bardzo zaszczytnemi przymiotami.

Jest wiele gatunków lisa. Naturaliści liczą trzynaście. Rozmaite strefy posiadają swe odmiany. Przytoczymy tu niektóre szczególniejsze. Najobszerniej opiszemy wszakże naszego krajowego lisa Mykitę, którego przebiegi i obyczaje najciekawszemi zapewne będą dla naszych myśliwych.

Lis zwyczajny *(canis vulpes, vulpes vulgaris)* zamieszkuje całą Europę i w ogóle większą część północnej naszej półkuli. Oprócz w Europie znajduje się w północnej Afryce i Azyi, nawet w Ameryce, tylko w Nowej Hollandyi czyli Australii dotąd go nie znaleziono. Odmiany jego w różnych strefach i okolicach bywają bardzo różne. W Tyrolu i górach szwajcarskich trafiają się lisy czarne *(Kohlfüchse)*. Z wierzchu czerwieńsze z czarną u końca kitą, zazwyczaj węglarzami bywają zwane. Lis górski w ogóle jest ciemniejszy od lisa dolin. Lis zwany u nas sybirskim czyli kamiennym, biały i niebieski *(Vulpes lagopus, Eis- Polar-Steinfuchs)* zamieszkuje okolice polarne; lis brazylijski *(vulpes azarae)*, różni się wielce od swego krewniaka, naszego zwykłego lisa tak przymiotami jak powierzchownością. W Azyi żyje lis Korsak *(vulpes corsac)*, a w Afryce w pobliżu przylądka dobrej nadziei *(vulpes caama)*. Do dalszych odmian należą lis puszczy *megalotis zerda* i *otocyon megalotis*.

Lis ma głowę szeroką, czoło płaskie, uszy w górę podniesione, talerzykowate, szerokie u spodu, w górze szpiczaste,

oczy małe ukośne, któremi podobnie jak kot widzi w nocy, mordę długą, szpiczastą, co wszystko fizyognomii jego nadaje wyraz chytrości uderzającej na pierwsze wejrzenie. Zębów posiada 42 osadzonych w szczęce z przedziałami, czem się różni od wilka. Lis jest cienki, ale że porosły bujnem, włosistem futrem, przeto wydaje się grubym i ciężkim. Pomimo tego jest nadzwyczaj zwinny, silny i zręczny. Nogi ma cienkie i krótkie, zarówno dobre do skoku, jak do cichego skradania się. Włos bujny, miękki, gęsty a ciepły, czyni go nadzwyczaj pożądaną zdobyczą dla myśliwego, dostarczając doskonałego futra. Bujna a długa kita wyróżnia go od innych zwierząt i jest szczególną jego ozdobą.

Futro lisie bywało u nas w Polsce najwięcej używane w klasie średniej, jako ciepłe a nie zbyt kosztowne. Magnaci podbijali swe szuby i ferezye sobolami, ale szlachcic trzymał się lisiurki. W kurcie lisami podbitej, w psich butach po kolana, krzątał się od świtu do nocy około gospodarstwa, lub na łowach, pieszo lub konno, w najtęższe mrozy, nie obawiając się zimna, a kiedy mając dalszą do przebycia podróż, owinął się w saniach powyżej uszu wilczurą, największa już mu nie dokuczyła zawierucha. Szlachcic nosił lisiurkę z lisów krajowych, które najczęściej sam upolował, ale matrony prababki nasze występowały w jupkach i szubkach, podbitych większemi a kosztowniejszemi lisami białemi sybirskiemi. Lisy tak zwane niebieskie, należą i dzisiaj jeszcze do najdroższych futer, które tylko magnaci nosić są w stanie. Ale domowe nasze lisiurki zastąpiły dzisiaj po dworach i dworkach szlacheckich inne, najczęściej z Ameryki importowane, miększe i delikatniejsze, a droższe i mniej ciepłe futra rozmaitych małp, dzikich kotów, piżmaków, bobrów i t. p. Modniejsze to i ozdobniej wygląda, ale ciepłej lisiurki nic nie zastąpi.

Maść lisa składa się z rozmaitych kolorów, które nie odbijają od siebie rażąco, ale łagodnie w harmonijną spływają całość. Grzbiet jego i boki są czerwono płowe, na czole, łopatkach i z tyłu aż do końca kity przebija kolor białawy, gdyż sierść w tych miejscach ma białe kończyny, morda i gardziel białe i takież pasy ciągną się po nogach. Pod brzuchem i na piersiach sierść wpada w kolor popielaty, nogi przednie ma czerwone, uszy i stopy czarne; całe zaś futro razem przybiera pewne odcienia, stosownie do właściwości okolicy, w której żyje. I tak lis północny różni się bardzo znacznie od południowca, lis stepowy od lasowego, przybierając wszędzie i zawsze barwę odpowiednią ogólnym barwom przyrody, śród której żyje. W niektórych okolicach i strefach futro jego staje się prawie żółtem, podczas gdy w innych jest rdzawo-żółtem. To zastosowanie barwy sierści do ogólnej przyrody służy mu wybornie tak do ucieczki i ukrywania się przed myśliwym, jak i przed łupem, na który się zaczaja. Uciekający lub przyczajony czy to w kniei czy w roli, w rozpadlinie skał, czy w pośród łąki, staje się prawie niewidzialnym, tak trudno go dostrzedz z powodów, że przedmioty, w pośród których się przemyka, podobną doń mają barwę. Lis w puszczy piaszczystej żyjący jest koloru piaskowego, na stepie płowy, na północy wedle stopnia szerokości geogr., pod którą żyje, przybiera na zimę sierść popielato-niebieskawą lub białą jak śnieg, na lato siwo-popielatą. Najpiękniejszym pod względem budowy jest lis czerwony północny, w umiarkowanej strefie, w Polsce i Niemczech. Tutaj ma on zazwyczaj przeszło dwie stopy długości, a razem z kitą półczwarta stopy. Nie bywa wiele wyższy nad stopę. Liszka jest smuklejsza i ma mordę bardziej szpiczastą. — Im dalej z północy ku południowi, tem lis staje się mniejszy, wątlejszy i mniej czerwony. Nie sprzyjają mu okolice niskie, moczarowate. W górach jest silniejszy i większy. Najpiękniejsze górskie lisy znajdują się w Szwajcaryi i południowym Tyrolu, ale tam są już bardziej siwe, szare a czasem nawet czarne. Lisów czarnych spotyka się wiele w Lombardyi i w okolicach Wenecyi, w ogóle lis tamtejszy jest od północnego znacznie mniejszy, zazwyczaj koloru płowego. W południowéj Francyi i Hiszpanii jest całkiem płowy i tak mały, że niektórzy lisa południowego nawet jako osobny gatunek uważają.

U nas w Polsce mamy cztery główne odmiany lisa. Oprócz zwykłego czerwonego jest lis górski i lis trzcinowy. Ten ostatni większy od zwykłego, ma sierść bujniejszą i gęstszą, jest barwy szaro-płowéj, białawéj. Mordę ma bardziéj szpiczastą od lisa zwyczajnego, żyje po wybrzeżach wód, stawów, po trzcinach, zwłaszcza wzdłuż całego naddniestrzańskiego porzecza. Lis stepowy ukraiński jest popielaty. Trafiają się u nas także k r z y ż a k i *(vulpes cruciger)* z czarnym krzyżem przez grzbiet i całe białe skutkiem albinizmu. Adam hr. Plater w swym *Spisie zwierząt ssących* itd., wspomina o lisie czarnym krzyżaku, ubitym w r. 1841 w Inflantach, w majątku Liksnie i w r. 1842 w Krasławiu, z brzuchem i grzbietem czarnym. O odmianie lisa czarnego wspomina także Rzączyński.

Lis jak wszyscy samolubi żyje najchętniéj w odosobnieniu rzadko nawet w parze, bo tylko wówczas, gdy mu się młode wywiodą; dopóki nie wyrosną, kopie on sobie jamy w ziemi, w których przesiaduje w chwilach wolnych od żerowania, dokąd ucieka w razach niebezpieczeństwa, i gdzie też znosi i ukrywa często swą zdobycz. Jamy te są szczególniejszéj budowy i znamionują wysoki instynkt pionierski wrodzony naszemu budowniczemu. Mają one rozmaite rozgałęzienia pod ziemią i dwa lub trzy otwory w różnych miejscach dla zapewnienia sobie ucieczki i zmylenia uwagi nieprzyjaciół. Jeżeli zważymy, że owe tak zmyślnie budowane podziemne krużganki sięgają do dwóch sążni pod ziemią, to istotnie zdumiewać się musimy wytrwałości i zmyślności zwierza, które sobie te mieszkania swoje tak kunsztownie i wytrwale buduje. Jama ta rozpoczyna się ukośnym kurytarzem, na kilkanaście stóp długim, w pewnej głębokości idzie wprost w dół i tworzy tak zwaną komorę, będącą właściwem mieszkaniem lisa, jego salonem bawialnym, sypialnią i spiżarnią. Z komory rozchodzą się w różnych kierunkach korytarze poziomo ukośnie ku górze, i kończą wyjściem na powierzchnię ziemi. Inne otwory stara się lis ukryć przed okiem nieprzyjaciół, aby jemu tylko służyły w razach potrzeby. Jakoż przystęp do nich zakrywa liściem, trawą, słomą itp. Kopiąc jamę wygartuje ziemię po części na wierzch, po części ubija bardzo zmyślnie ku bokom, tworząc tym sposobem tunel sklepiony o twardych ścianach. Nie zawsze jednak przedsiębierze sam budowę swego mieszkania. I owszem wygodniś woli, gdy mu się uda przyjść do gotowego. Jakoż zajmuje gotowe jamy borsucze lub królicze, albo opustoszałe dawne jamy lisie. W takim razie ma niezmiernie ułatwioną robotę, albowiem nie pozostaje mu jak tylko rzecz gotową na swój sposób przerobić, do swoich potrzeb zastosować i odnowić. Jeżeli jednak obejmuje dawniejszą siedzibę lisią, natenczas bywa nadzwyczaj przezorny, widocznie pojmuje, że jego poprzednik nie bez przyczyny dom osierocił i podejrzywa w tem rękę myśliwca. Używa więc wszelkiego starania i sztuki, aby omylić uwagę myśliwych i psów, mogących znać drogę do jego skrytki. Przesiaduje tam cierpliwie, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

Jama lisia z całym labiryntem krzyżujących się pod ziemią kurytarzy, miewa do 50 stóp obwodu. Komora sama około trzech stóp przestrzeni w przecięciu. Kurytarze krzyżują się

w rozmaitym kierunku, wszelako do komory jeden tylko główny prowadzi. Wszystko w całej tej budowie znamionuje instynkt własnego bezpieczeństwa, wszystko jest obliczone na zmylenie nieprzyjaciela, na ukrycie się przed jego prześladowaniem i zapewnienie sobie ucieczki, tudzież spokoju i wygody. Tylko lis egipski nie kopie sobie jam, lecz żyje lata całe pod ciepłem tamtejszem niebem na wolnem powietrzu, i tylko samica grzebie tam sobie siedzibę o jednej norze z maleńką komórką, dla przechowania w niéj swego potomstwa w pierwszej chwili. Komora służy lisowi nie tylko za kryjówkę i ucieczkę od pogoni, ale także za schronienie od zimna i zmian atmosferycznych. Podczas wielkich mrozów, burzy, gwałtownych deszczów, a w lecie w wielkie upały siedzi sobie lis cichutko w swym podziemnym pałacu, ale niech no błyśnie pogoda, słoneczko zaświeci, mróz zwolni, gaj się rozwinie, natenczas wychodzi użyć powietrza na przechadzki, zwiady i polowanie a obiegłszy kawał drogi, przyczaja się na odpoczynek w leśnych zaroślach, trzcinie, zbożu lub w burzanach. Wielki to strategik i wielki myśliwy. Przezorność, z jaką stara się uniknąć zasadzki i oka ludzkiego, jest prawdziwie zdumiewająca. Skoro sobie obrał siedzibę w nieznanem miejscu, potrzeba widzieć, z jakim istnie strategicznym zmysłem stara się rozpoznać topografię całej okolicy, jak na wszystkie strony kluczy, węszy, myszkuje, aby z jednej strony przekonać się, czy mu nie grozi jakie niebezpieczeństwo, z drugiej upatrzyć sobie zdobycz i obmyśleć sposoby dostania takowej. W tym celu podkrada się do wsi, rozpatruje położenie chat, obór, kurników, wietrzy ptactwo domowe, zapewnia się przezornie, czy nie ma w pobliżu psów lub ustawionych pułapek, pełznie po pod ściany, skacze przez płoty i przesuwa się po strzechach dla poznajomienia się z rozmaitemi drogami i przesmykami, którędy w razie niebezpieczeństwa mógłby sobie odwrót zapewnić. Słowem prowadzi wojnę podjazdową wedle z góry strategicznie ułożonego planu, który zmienia wedle miejsca i okoliczności.

Strasznym jest lis prześladowcą wszystkich tych stworzeń, któremi się żywi, i na które się wyprawia, mianowicie ptactwa domowego i dzikiego, zajęcy, królików itp. Nie posiadając siły wilka, zastępuje brak ten zręcznością i podstępem, przez co o wiele strasznieszym od tamtego się staje. W wilku od razu poznać nieprzyjaciela, lis zbliżając się do swej zdobyczy, przybiera postawę tak potulną i niewinną, że niepodobna go się obawiać. Upatrzywszy zdobycz, jeżeli od razu z jakiej kryjówki niespodzianie rzucić się na nią nie może, przypada do ziemi, i czołgając się ku niej zwolna, aby nie spłoszyć, udaje niedołężnego inwalida, a podszedłszy dopiero na odległość skoku, rzuca się na swą ofiarę nagle i dusi. Natura szczególniej też już do tego usposobiła organizm lisa. Jest to gimnastyk, jakich mało; mniej lotny od zająca, bieży jednak szybko zawsze kłusem. Przyciśniony pogonią lis, przesadza szerokie rowy, wysokie płoty, a nawet mury, których zając przeskoczyć nie jest w stanie. Ale nie tylko biegać i w biegu sadzić susami umie nasz Mykita. Umie on przypaść milczkiem do ziemi, sunąć na brzuchu, podkraść się wszędzie, stąpać tak cicho, że go usłyszeć nie podobna. Gdy bieży, kitę trzyma poziomo wyprostowaną; idąc spokojnie spuszcza ją i włóczy po ziemi. Często przysiada na tylnych łapach jak pies, z zagarniętą pod siebie w około nóg przednich ozdobnie wijącą się kitą. Czatując na zwierzynę kładzie się na brzuchu. Gdy spoczywa, zwija się często w kłębek podobnie do psa, lub wywraca na wznak. Sen ma mniej czujny od zająca o tyle przynajmniej, że czasem uda się podejść śpiącego. W kniei podczas nagonki pierwszy on zrywa się do ucieczki i pierwszy zazwyczaj wypada na linię strzelców, rozpatrując, którędyby się przemknąć można. Lis wydaje głos podobny do krótkiego, oderwanego szczekania lub kaszlu, ale lis stary rzadko kiedy szczeka, z przezornosci, aby nie zdradził swego pobytu. Czyni on to tylko podczas burzy, wielkiego zimna lub grzania się. Za to młode, niedoświadczone szczekają, ilekroć są głodne, lub gdy znudzone potrzebują zabawki. Rozzłoszczony lub w wielkiem niebezpieczeństwie lis mruczy i wyje. Trafiony kulą wydaje jęk bolesny, wszelkie inne rany znosi po bohatersku i w uporczywem milczeniu.

Lis w naturalnym porządku rzeczy, żyje dwanaście do piętnastu lat. Rzadko jednak się zdarza, aby naturalną ginął śmiercią, najczęściej pada ofiarą łowów. Człowiek za nadto naposiadł się na szkodnika, lis za nadto jest pożądaną zdobyczą dla myśliwych, wszystko się zatem sprzysięgło na to, aby pomimo nadzwyczajnego swego dowcipu i zręczności, rzadko kiedy mógł dożyć przeznaczonego mu przez przyrodę kresu. Lisy podlegają tym samym co psy chorobom, a mianowicie wściekliźnie. Bywały wypadki, że lis wściekły wpadał za białego dnia do wsi, kąsał ludzi, psy, bydło, słowem wszystko, co mu w drogę zaszło. Szczęściem, że wypadki te rzadko się zdarzają. Lis poluje na swą zdobycz tak w dzień jak w nocy. O ile jest przezorny i bojaźliwy tam, gdzie spodziewa się zasadzki, lub przewiduje niebezpieczeństwo, o tyle bywa odważnym tam, gdzie się czuje bezpiecznym. Wówczas staje się bezczelnie śmiałym. Nie czując strzelca w pobliżu, nieraz po białym dniu porywa kurę, gęś, kaczkę i ucieka z tryumfem, jakby na szyderstwo z patrzących, nic sobie nie robiąc ni z psów, ni z dworskiej czeladzi. Odpędzony wraca, wbrew zwykłej przezorności, czasem nawet po kilkakroć w to samo miejsce, jakby żałował wymykającego mu się łupu. Bezczelne to łakomstwo nieraz życiem przypłaca. — Zazwyczaj wszakże obiera porę nocną na swe myśliwskie wyprawy. W lecie, w pogodę lubi przez dzień wygrzewać się na słońcu, podobuie jak pies. Rozciągnąwszy się gdzieś w ustroniu na jakim pniu starym lub na kamieniu, odprawia całemi godzinami błogą drzemkę. Z nadejściem zmroku wieczornego syt wypoczynku puszcza się dopiero na łowy. Zwolna, ostrożnie, przystając i przysłuchując od czasu do czasu, rozpatruje się, wietrzy, obierając zawsze drogę pomiędzy krzaki, wąwozy, burzany, miedze, które go z daleka przed okiem ludzkiem zakrywają. Nadzwyczajna bystrość wzroku i węchu służy mu doskonale w tych jego wyprawach, a z każdego spostrzeżenia umie natychmiast wybornie skorzystać. Chytrość i podstęp, stanowiące jego naturę, czynią go niezmiernie niebezpiecznym dla zwierząt, na które napada. Widząc go tak sobie spokojnie z pobożną miną przebiegającego pola, nie możnaby się spodziewać, jakie tam czyni spustoszenia, jak jest bezmiłosiernie drapieżny. Dostawszy się do kurnika, wydusi niezawodnie wszystkie kury, choć ich nie zje, tylko tak sobie jako amator i łakomca. W polu zjada zające, króliki, po bruzdach podchodzi kuropatwy. Nieraz całemi godzinami czatuje cierpliwie w krzakach na powracającego do lasu zająca, rzuca się nań znienacka i chwyta. Czasem odważy się nawet pochwycić młodą sarnę lub jelonka, ale biada mu, skoro macierz porwanej ofiary obaczy zuchwalca. Jeżeli go dopędzi, tak go wytłucze przedniemi kopytami, iż okulawiony ledwo się dociągnąć zdoła do swej komory. Myszkując po polach najwięcej zjada myszy, i to jest jedyna jego cnota, za którą wdzięczni mu bywają gospodarze. W braku czego innego nie gardzi chrząszczami i gąsienicami, szarańczą i rozmaitem robactwem. Nie przepuszcza nawet pszczołom, osom i muchom. Najlepiej wszakże lubi ptactwo domowe i wodne. W kurnikach zakochany

formalnie. Do chat ustronnych i na folwarki, gdzie drób chowają, podkrada się nocami a nawet we dnie. Ugania się za ptakami i zręcznością a przebiegłością nieraz mu się powiedzie chwycić starego nawet ptaka. Za ptactwem wodnem przepływa wody, tropi po moczarach i trzęsawiskach, wyszukuje tam i wyjada ich gniazda. Bywały wypadki, że dusił łabędzie po sadzawkach. Na wodzie przeobraża się też w rybitwę. Chwyta z brzegu pstrągi i raki — nad morzem wyjada rybakom sieci, w ogrodach łakotniś rozkoszuje w słodkich gruszkach, śliwkach, truskawkach i winogronach... jeżeli nie kwaśne. Ale gdy głód dopiecze, wówczas bywa mniej wybredny — nie przebiera i żywi się po prostu ścierwem, gdzie nadybie. Z tego powodu mięso lisie jest cuchnące i obrzydliwe.

Lis nie tylko jest chytry i żarłoczny, ale przytem okrutny. Pod tym względem posiada on te same co kot instynkta i podobnie jak kot igra długo ze swą zdobyczą, zwłaszcza z myszami, nim wreszcie zdusi, a jeżeli posiada młode, wówczas znosi im żywcem zdobycz dla zabawki, zaprawia tym sposobem do łowów i mordu. A nie tylko okrutny jest lis względem swej zdobyczy. Często się zdarza, gdy głodne, że same na siebie napadają i mocniejsze słabszego pożerają, zwłaszcza, jeżeli jest zraniony lub schorzały. Biada mu, jeżeli się nie zdoła wymknąć niepostrzeżenie żarłocznej, bratobójczej zgrai. Wówczas staje się niechybnie pastwą jej żarłoctwa. Jest to najczęściej los lisów postrzelonych lub okaleczonych. Lis zgłodniały traci zwykłą przezorność i staje się istnym wilkiem. Wówczas traci głowę, nie widzi niebezpieczeństwa, rzuca się na oślep na wszystko, co mu za żer służyć może, nawet na własne, jak widzieliśmy, plemię. Pewien myśliwy spotkał przy nastawionem żelazie lisa, który pożarł ze szczętem drugiego, pochwyconego w pułapkę. Ponieważ żelazo nastawione już zrobiło swoją powinność, schwytawszy jednego lisa, przeto drugi widząc pojmanego kolegę, zbliżył się już bez żadnego niebezpieczeństwa i pożarł go z kretesem, nie zważając, że tymczasem zbliżył się myśliwy i przerwał biesiadę, celnym strzałem ugodziwszy żarłoka. Innym razem pozostawioną w pobliżu komory zabitą liszkę, własne jej młode przez noc zżarły tak, że rankiem znaleziono z niej tylko kości ogryzione.

Wszelako tak zaciekłym staje się lis tylko w razach ostatecznego głodu. Zazwyczaj przezorność jego i wynikające ztąd umiarkowanie w żądzach, jest podziwienia godne. Jakby się uczył polityki za czasów drugiego cesarstwa, nie daje się uwieść ślepym popędom, po napoleońsku umie się powstrzymać u kresu, po za którym musiałby już kapitulować, odsłonić swe słabe strony i narazić głowę. Z tej przyczyny, z tego nadmiaru oględności, nie lubi gonić za zdobyczą, obawiając się zasadzki, woli na nią czyhać, zaczaić się i czekać, aż sama mu przyjdzie w łapy, lub wpaść znienacka na siedzącą w miejscu. Psów a nawet owiec boi się niesłychanie i z drogi im uchodzi. Nigdy nie ośmieli się podchodzić całej trzody. Nawet do ścierw zbliża się bardzo ostrożnie, podejrzywając zasadzkę. Jakoż tylko młode i niedoświadczone lisy dają się łowić na przynętę, ale raz zdradzone, poznawszy czem to grozi, nie narażą się choćby dla najsmaczniejszego kąska. Napotykając w której okolicy częste zasadzki, widząc obudzoną czujność naposiadającego się na nie człowieka, rzucają raz na zawsze tę okolicę i uchodzą w dalekie strony. Podejrzanej zdobyczy lis nie tknie, póki jej doskonale ze wszystkich stron nie zbada i nie przekona się, iż nie ma niebezpieczeństwa. Z tego też powodu nigdy nic nieżywego nie zabiera do swej komory, chyba to, co sam zdusi. Myśliwi chcący go brać na przynętę, muszą przez pewien czas kłaść ją bez nastawienia pułapki, dopiero uspiwszy tym sposobem podejrzliwość lisa, można z nadzieją pomyślnego skutku nastawić żelaza. Bywały wypadki, że lis doświadczony tak się doskonale rozpatrzył w całej maszyneryi nastawionego nań żelaza, iż potrafił zdjąć przynętę nie tknąwszy żelaza i nie uczyniwszy sobie nic złego. Jest to istny tryumf zmyślności zwierzęcej. W ogóle jednak sposób ten polowania udaje się tylko od początku listopada do końca stycznia, kiedy lis nie ma się czem żywić, wówczas bowiem, gdy ma pożywienia podostatkiem, nie tknie już ścierwa. Jest nawet tak przezorny, że aby nie ściągnąć na siebie uwagi swych nieprzyjaciół, nigdy nie szuka łupu w pobliżu swej siedziby, ale przeciwnie udaje się w poszukiwaniach za nią w dalszą zawsze okolicę, pojawiając się to tu, to tam niespodziewanym gościem i umykając chyłkiem krętemi drogami dla omylenia pogoni. — Jakoż potrzebna mu ta ostrożność, ma bowiem srogiego w człowieku nieprzyjaciela, który go prześladuje niestrudzenie. Żaden może zwierz nie bywa celem tylu pościgów i zasadzek, na jego czyhających życie. Jest on, rzecby można, banitą wyjętym z pod praw łowieckich. Wytępiają go zawzięcie i tylko niezmiernej zmyślności swej winien, iż ród jego nie zaginął dotąd. Na lisa poluje się wszystkiemi sposobami, jakie sztuka łowiecka wymyślеć była w stanie. Poluje się nań psami i strzelbą, z nagónką i na zasiadki, bierze się go na przynętę podstępem, nastawia nań żelaza i kopie doły, lub świdrem wyciąga z jamy. Najrozmaitsze bywają konstrukcye pułapek, obmyślonych na jego schwytanie. Najczęściej bywały używane tak zwane *Berlińskie żelaza.* Inne narzędzie *Kapkan*, wkłada się w przynętę, którą gdy lis porwie, żelazo się rozwiera i chwyta go hakami za szczękę. Nastawiać potrzeba żelaza tak umiejętnie, aby spadały w porę, inaczej lis zręcznie wymknąć się potrafi. Bywały wypadki, że lis pochwycony żelazem za nogę, odgryzł ją sobie i uciekł, przenosząc ból nad obawę śmierci. W ogóle lis jest ogromnie na ból wytrzymały i ma w sobie niezmiernie wiele siły żywotnej. Pewien myśliwy przestrzelił lisowi przednią nogę zgruchotawszy kość tak, iż zwisła noga przeszkadzała temuż do ucieczki. Wówczas lis rozpaczliwie pochwycił mordą nogę zwisłą, odkąsił ją i zbywszy się tej przeszkody, pobiegł, czyli mówiąc po myśliwsku, podyndował tak gracko, jakby mu się nigdy nic nie stało. Należy też być bardzo ostrożnym na razie z lisami ubitemi, dopokąd się nie przekona, że istotnie nie żyją. Mają bowiem zwyczaj przyczajać się. Często się zdarza, że lis pozornie ubity po pewnym czasie ożyje, wówczas zrywa sie raptem i ucieka, lub kąsa tych, co go trzymają. Bywały wypadki, że lis miany za nieżywego, przytroczony do siodła, chwytał znienacka z tyłu jeźdźca lub konia i srodze kaleczył. Widziano lisa odartego już po uszy ze skóry, który jeszcze kąsał po palcach swego oprawce.

Myśliwi polując na zasiadki, wabią lisy udawaniem głosu młodych zajączków, albo pisku myszy. Aby się ukryć przed podejrzliwością lisa, kopią myśliwi jamę w ziemi zazwyczaj wpośród gęstych krzaków, pokrytą z góry dla niepoznaki ziemią i mchem. Miejsce tak się wybiera, aby przed tą jamą mającą służyć za kryjówkę strzelcom, była otwarta polanka krzakami otoczona, na którą zwabia się lisa na przynętę, podrzucając mu ścierwo. Ale skoroby najmniejsze ślady człowieka w pobliżu lis zmiarkował, natenczas daremna już praca—żaden wabik ani ponęta nie pomoże.

Jeden z myśliwych niemieckich, w następujący, bardzo obrazowy sposób opisuje podejrzliwość lisa wziętego na przynętę: „Nie do uwierzenia, jaką przezorność lis okazuje tam, gdzie nań zastawiono pułapkę. Miałem pewnego razu przyjemność być świadkiem, jak podczas tęgiej zimy zastawiono

żelaza na upatrzonego lisa. Zmierzchało się, gdy pędzony głodem lis przykłusował w to miejsce. Bez obawy chwytał porozrzucane z daleka kawałki przynęty i zjadał, a po spożyciu każdego kawałka przysiadał i wymachiwał swobodnie kitą. Ale im bliżej nastawionego żelaza leżała przynęta, tem też i on stawał się ostrożniejszy, dłużej namyślał się, nim dotknął którego kawałka i obiegał wielokrotnie w koło całą przestrzeń. Przeszło dziesięć minut przyglądał się z niewysłowioną pożądliwością ponęcie na żelazo wetkniętej, nie ośmielając się wszakże jej dotknąć, dopóki jej znów kilka razy nie obiegł, widocznie aby się przekonać, czy nie ma niebezpieczeństwa. Wreszcie mniemając się całkiem bezpiecznym, sięgnął przecież zdaleka tylko łapą po kęs zdradliwy, lecz nie był w stanie go dosięgnąć. Poczem nastąpiła znów pauza — w ciągu której jak przedtem przypatrywał się łakomie przynęcie. W końcu zrozpaczony skoczył na nią raptownie i w tej chwili pochwyciły go żelaza".

(Dok. nast.)

POLOWANIE

RAPSOD MYSLIWSKI [1])

PRZEZ

DRA ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

O czemże dzisiaj bracia spiewak wam zanuci,
Kiedy mu Pegaz grozi, że go z siodła zrzuci?
Czy go licho obsiadło? To wierzga, to wstrząsa,
Czy się na nasze chłody północne tak dąsa?
Nie wiem; dość, że nie myśli o Muz Hipokrenie,
Ciągle brdysa, jak gdyby gryzły go szerszenie! —
Zrzucę ja pychę z serca, pieszo choć po grudzie
Pójdę, nucąc po drodze wprawdzie nie o cudzie
Lecz o przedmiocie godnym opiewania przecie,
O łowach, jakich dawno nie było w powiecie,
Quorum magna pars fui, jak się to okaże,
Gdy i moje wam łupy po kolei wskażę.

Ty zaś, o fuzyo moja, zastąp miejsce owej,
Głośnej, przesławnej, świętej Muzy homerowej —
Powiedz mi, gdzieś bywała, jak się popisali
Ci, co we Wiliją ogniem i ołowiem plwali,
Co ubito, chybiono, z daleka czy z bliska?
Gdzie były ich zasadzki, gdzie ich stanowiska?

Żeby zaś powieść moja bez żadnej obrony
Nie była od pocisków z tej lub owej strony:
Piszę ją największemu z kolegów strzelcowi:
Rabskiemu [2]) myśliwemu, Rabskiemu *Krukowi*.

PIEŚŃ I.

Snieg pruszył — chłodno było — dzień, jak zwykłe bywa,
Jakiego każdy w Polsce w Wilią się spodziewa.
Jeszcze ranna jutrzenka nosa z pod pierzyny
Nie wytknęła w horyzont bladawy i siny;
A już po ruchu dziwnym przed dworem w Łukowie,
Psów szczekaniu radośnem, strzelców gwarnej mowie,
Widać, że już zaczęły się przygotowania
Do walnego na Wełny borach polowania.
Kręcą się i przed sienią i w samejże sieni
W długich butach myśliwcy ubrani w zieleni;
U każdego przy boku zawieszona wisi
Torba z siatki lub skóry borsuczej i lisiej —
W tych to torbach ów ogień siarczysty się chowa,
Od którego dziś zwierza polegnie połowa.
Cisza zresztą powszechna, każdy broń gotuje,
To nabija, to czyści, skałkę opatruje,
Czasem tylko towarzysz drugiego zagada,
Gdy mu czego zażądać od niego wypada.
Gdy tak wszyscy zajęci, we środku ich staje
Stary łowiec, i zrzędząc towarzyszów łaje,
Z karmazynowej, marszczek pełnej twarzy,
Na której dwoje oczu jaskrawie się żarzy,
Z nosa, któryby można porównać z burakiem
Jawnie widać, że Andrzej nie gardził arakiem.
Ten Andrzej jest murgrabią i stróżem mieszkania
Lanczafty Dyrektorów naczelnych z Poznania;
Już dziś trzeciemu służy w rzetelnej wierności,
Za to też się spodziewa przy nim w grób swe kości
Złożyć — tymczasem sobie jak kawaler żyje,
Dobrze spi, je niezgorzej, a najlepiej pije.
Wiele to o tem gadać! Kolor sino-krwawy
Ma mu na twarz wywabiać spora porcya kawy,
Którą codzień wychyla z wieczora i z rana.
Lecz nie myślcie, że kawa ta zwyczajna, znana —
O bynajmniej! Bo Andrzej tę posiada sławę,
Że on tylko zna sekret, jak się warzy kawę.
Dodaje on jej cukru, i masła i soli,
Przez co kawa nabywa strawności rosolej;
Potem cebuli, kwiatu i bobkowych liści,
Cynamonu — a wszystko to ma swe korzyści;
Żeby zaś te obiedwie połączyć własności,
Araku w nią Jędrunio leje bez litości;
Wtedy masło, korzenie i arak ofiarą
Staje się, by pokrzepić Andrzeja pierś starą.
Owoż tento gość z miasta, otoczony kołem
Strzelców, gwarem i szmerem i smiechem wesołym,
Stoi przed dworem, dzierżąc w ręku związywaną
Sznurami wzdłuż i poprzek, rusznicę kochaną.
— „Niech mnie jasne pioruny gdzie wezmą do piekła,
Jeśli mi z łowów radość cała nie uciekła,
Patrzcie, rusznica pękła, cel odpadł, nic nie ma,
Ani sznurka, ni gwoździa, a tak nie wytrzyma".

[1]) W przekonaniu, iż czynimy przysługę nie tylko czytelnikom naszym, ale nawet literaturze; umieszczamy w „Łowcu" pierwszą poetycką pracę naszego znakomitego uczonego i pisarza. Dołączony dopisek sz. autora, zbyt skromnie ją oceniając, nadaje jej wartość pamiątkową, my zaś widzimy w niej wyborną charakterystykę łowów ówczesnych i osób w nich udział biorących.

„Do zbioru autografów hr. Włodzim. Dzieduszyckiego ofiaruję ten rękopism, nie żebym przypisywał jakową wartość temu wierszowi, uznaję bowiem, że jest nieudolny, ale na pamiątkę. Była to pierwsza moja rymowana próba. Pisałem ją na wakacyach Boż. Narodz. 1840 r., jako uczeń klasy VI gimn. Poznańskiego dla kolegów szkolnych, w gronie których też na lekcyi za zezwoleniem prof. literatury polskiej, Poplińskiego odczytaną została. Figury wprowadzone były wszystkie rzeczywiste. Dla nieznającego osób czytelnika charakterystyka ich traci naturalnie na wszelkim interesie".

Lwów d. 28 Grudnia 1858.

Ant. Małecki.

[2]) Był to jeden z kolegów moich szkolnych, miał z powodu nazwiska przydomek Kruka, o który się wielce gniewał.

Ledwo wyrzekł te słowa, strzelec z Białężyna
Kawał rzemyczka żydkiem od torby ucina,
I daje Andrzejowi. On szturmak związawszy,
Prochu, śrótu i pakuł w niego wpakowawszy,
Wsadził krzemień na kurek kowalskiej roboty,
Nie misterny, lecz mocny, aż nabrał ochoty:
— „Niechaj mnie diabli porwą! Zróbcie ze mnie śledzia,
Jeśli wam nie ubiję na łowach niedźwiedzia!“
W tem nadszedł pan Franciszek [3]) na gości swych przedzie,
— Pan Franciszek, co zawsze na łowach rej wiedzie —
Do sieni z fuzyą w ręku, by wydać rozkazy
Do pochodu na łowy. — „Niech żyje!“ — trzy razy
Powitała go wiara. On w okół się skłonił,
Po twarzach okiem wszystkich myśliwych pogonił,
Potem głośno zawołał: — „Wiele- mało-możni,
Radzę wam, ażebyście dziś byli ostrożni,
Bo to nie o szaraka, ani lisa idzie,
Chociaż i taki dobry bywa nieraz w biedzie —
Jeleń w Wełnie w Kleszczywkach bawi od tygodnia,
Widział go tam borowy z synem wczoraj do dnia!
Z czyjej ręki i fuzyi dzisiaj jeleń zginie,
Niech będzie pewnym, że go nagroda nie minie,
Lecz biada temu, który do niego spudłuje
Ten sobie wstyd i hańbę — ba, łozy gotuje!
Niechże o tem pamięta więc myśliwiec wszelki,
Bo też jeleń rarytas w tej krainie wielki!“
Słowa te strzelców ducha zapałem zagrzały,
Jelenia ubić każdy chciał, wielki i mały,
Zwłaszcza stary Rynkowski, ogrodowy sławny
(Który wie, czego „Liniusz“ i „Plineusz“ dawny
O ogrodach uczyli), okazał po minie,
Że jeleń z jego ręki lub z niczyjej zginie.
Tymczasem pan Franciszek po takiej przemowie
Wykładał jak łopatą borowego głowie,
(Gdzie waga kniei dobrze naprzód wypytawszy,
Z której strony wiatr wieje, bacznie wysłuchawszy),
Gdzie podjechać i stanąć z czeredą wrzeszczącą
Głośnych huczków, w klekotki ciągle grzechocącą,
Jak nagankę założyć, w którą wdać się stronę,
Jak strzelcom ciągle z tyłu poddawać obronę.
A stary Wojciech kiwał, kłaniał się bez końca,
Dumny, że jemu zdano urząd łowów gońca.
Potem na psiarnię padło myśliwego oko,
Z ogarów tylko Djankę, Nelsona i Zoko
Wziąć kazał do naganki, reszcie zostać w domu,
Niechaj nie przeszkadzają w nagance nikomu!
Po takim to przeglądzie: — „zajeżdżajcie“ — krzyknął;
Każdy z strzelców z flaszeczki charakteru łyknął,
Flintę włożył na barki — w tem też zajechały
Wozy, bryczki — już pełen dziedziniec ich cały —
Każdy gdzie mógł tam zasiadł, i już w oka mgnieniu,
Ni jednego nie było strzelca na przedsieniu.
Fornale z biczów trzaśli — ogień z biczów błysnął,
Koń zatętniał kopytem, na postronkach zwisnął,
I drugie oka mgnienie nie przeszło, a w dworze
Ani znaku nie było, że dzisiaj kto zorze
Uprzedził, by polować. Psów tylko szczekanie,
Które wyły z rozpaczy, że na polowanie
Wziętemi nie zostały, wciąż przypominało,
Że na wsi grono strzelców właśnie wyjechało.

Myśliwi jadą spiesznie to polem, to borem,
Gwarnie, hałaśnie, jakby cyganie taborem,
Niezliczona moc wozów i małych i wielkich
I dorożek i bryczek i bied kształtów wszelkich.
W pierwszej bryczce, na przodku z trzema gośćmi jedzie
Pan Franciszek, co zawsze na łowach rej wiedzie,
Potem dwie bryki pełne się toczyły
Powożone od Maćka i Grzesia Baryły.
Za niemi bied aż troje, w wszystkich pomieszczeni
Łowcy na polowanie do Wełny sproszeni,
Wysmukli i brzuchaci, i młodzi i starzy,
A wszyscy pomięszani siedzą, jak się zdarzy.
Któżby ich tam zrachował!
W tyle za wszystkiemi,
Jak mówię *ex professo* zapchan myśliwemi,
Toczył się półtoraczny wóz. Pomiędzy niemi
I ja choć *maisz* [4]) jeszcze siadłem, za opłatą
Każdemu miarki prochu i śrótu, a za to,
Co który opowiadał, to wszystko słyszałem,
Gdzie i jak który siedział, to także widziałem.
Czterema siedzeniami woz był przedzielony,
Na przodku przy woźnicy, do koni zwrócony,
Siedział Andrzej z Poznania, strzelec zawołany,
Z swej rusznicy i kawy każdemu już znany;
Po prawej siedział Maciej, (w Łukowie nad niego
Nie ma strzelca lepszego, oprócz Rynkowskiego,
I to jeszcze nie pewne!). Z tyłu mieli Jana
Którego moc i męstwo i waleczność znana,
Zwłaszcza żydom i niemcom, bo strasznie zhołdował
Wszystkich, z którymi tylko gdziekolwiek wojował.
A na drugie siedzenie siedli Józefowie
Wszyscy trzej i zrodzeni i zrośli w Łukowie, —
Każdego z nich imieniem innem nazywano,
By przypadkiem jednego z drugim nie zmięszano:
Józiem zwano jednego, *Józefkiem* drugiego
Śniura było dla żartu nazwisko trzeciego, —
(Lubił on opowiadać, jakie w wojsku sznury
I pętlice miał złote, barwiste mundury,
A że *sznur* nie wymawiał dla złej pronuncyacyi,
To podało pobudkę takiej nominacyi).
Dwa ostatnie na wozie ze słomy przedziały,
Przez pięciu pozostałych zajęte zostały.
Usiadł tam organista, co więcej z śpiewania
Kościelnego zasłynął, niźli z polowania.
Po prawej jego stronie teść jego Rynkowski,
Z lewej ręki czarodziej, jak były pogłoski
Pomiędzy myśliwymi — strzelec z Białężyna,
Wszystkich czarów i zaklęć łowieckich sprężyna.
W końcu siedział Wincenty, kolega nasz szkolny,
A przy nim ja, tej pieśni autor nieudolny. —
Właśnieśmy świerkowego lasku dojeżdżali,
Gdy rzecz swą Organista tak prowadził dalej:
— „Więc nie wiem, czy mnie łozy dzisiaj ujdą tylko,
Bo spotkałem młynarza przed maleńką chwilką,
Odmówiłem mu fuzyi, — a on jakieś krzyże,
Jakieś ręką żylastą wywijania chyże
Wyprawiał i pogroził, że nic nie zabiję“.
— „Toćbym też tu na miejscu położył mą szyję —
Odezwał się skwapliwie teść jego Rynkowski, —
Że nie płonne Wasana, panie zięciu troski,

[3]) Franciszek Mickiewicz, starszy brat Adama, przebywający od r. 1831 w W. X. Poznańskiem.

[4]) *Maisz*, tyle co nowicy usz w łowieckim języku.

Jabym radził nie strzelać, chybaby do lisa,
Bo na tego to nie ma u samego biesa
Zażegnania, ni czarów, dla tego do kity
Najbardziej lubię strzelać, przytem talar bity
Albo skórka już moja!“
Strzelec z Białężyna
Wszystkich czarów i zaklęć łowieckich sprężyna.
Boć to on i młynarza nauczył owego
Tej klątwy, którą zgromił Pawła Kroteckiego [5])
— „Co mi tam Wasan gada — przerwał opryskliwie —
Jeśli mi Waszeć zrobisz, co chcę, to na piwie
W Obornikach nauczę, jak się lisa psuje,
Tak, że kogo zażegnasz, to w niego spudłuje“.
Zamilkł, a Ogrodowy głową kiwa, kręci,
— „Do spółki nie mam z wami, mój Antoni, chęci,
Wyście mi już za wielki heretyk, wszak w zgodzie
Z diabłami przestajecie na jednej zagrodzie,
Wyście już do obrazu i do Bożej męki
Strzelali, nie chcę ja się czepić takiej ręki!“
—„Co mi tam ojciec bredzi — przerwał syn Wincenty—
Hoho! już jabym wolał być taki przeklęty,
A strzelać jak Antoni, i umieć te sztuki,
Których się ojciec wzbrania od niego nauki!
Alboż to teraz groszy nie zgarnie Antoni,
Jeżeli śrót jelenia w Klaszczewkach dogoni?
Boć on go tu sprowadził przez ziółka, przyprawy,
Które mięszał codziennie co rano do trawy“.
Nie słyszał Jan, ni Maciej, ani Andrzej stary,
Co Rynkowski powiadał, i jako o czary
Obwiniał Antoniego, bo sobą zajęci.
Rozmowy drugich słuchać nie mogli mieć chęci.
Właśnie wtedy gawęda toczyła się żwawo:
Jan bójkę Andrzejowi opowiadał krwawą.
Którą zwiódł przeszłej zimy, Andrzej kiwał głową,
Szarpiąc się, że go durzą kłamliwą rozmową,
Więc ażeby się zemścić, sam swe dzieje dawne,
Jął opowiadać, czyny waleczne i sławne:
Jak, kiedy jeszcze służył u Francuzów, wody
Zamiast wina nie pijał, (nie znano tej mody),
Jako wrogów roztrącał, w boju dokazywał,
Jak zające jamnikiem z jamy wydobywał,
Kuropatwy na dębie zrzucał, w wypróchniałej
Wierzbie wynalazł dzików pomiot cały,
Jakie psy, jakie fuzye francuz jego miewał —
Wszystko to towarzyszom swym Andrzej opiewał;
A choć niejedno wymkło się z ust Andrzejowi,
Co się niezgodnem z prawdą wydało Janowi,
Nie przerywał mu jednak, boć też dla myśliwych
Nie ma kary za łgarstwo — mało ich prawdziwych!
I Józefy nie milczą. Druhom Józef Śniura
Opowiada, jak w Litwie powalił raz tura:
— „Życia pewien nie byłem, lecz cóż robić było,
Wzięło się szturmak w rękę, dziarsko wymierzyło,
Ledwom cyngla pociągnął, tur padł mi pod nogi,
I tak uszedłem śmierci okrutnej i srogiej“.
W tem tony z bryczek miłe w ucho uderzyły!
Z bryczek, które przed naszym wozem się toczyły,
Było tych bryczek może około dziesięciu,
Na jednej z nich *maiszów* było blisko pięciu,
Wszystko dziarskie chłopaki, na ostrze gotowi
Pogonić i za dzikiem, a choć byli nowi
I jeszcze fryce w łowach, to gwarzyli przecie
O strzeleckich fortelach, o łowieckim świecie,
Nareszcie uniesieni szlachetnym zapałem,
Zanucili łowiecką piosnkę chórem całym.
Starsi strzelcy twardymi głosy wtórowali
A wszyscy z bryczek, wozów tę piosnkę spiewali:

CHÓR STRZELCÓW
Garczyńskiego.

Hej przez pola, przez parowy
Niechaj suwa koń,
Dziś puścimy psy na łowy,
Strzelcze w trąbkę dzwoń!
Niech liść, drzewo i bór cały
Od łoskotu grzmi,
Niechaj pada strzał na strzały
Dym niech światło ćmi!
Hej myśliwcze! Dziś bój krwawy!
Pilnie w miejscu stój,
Dalej chłopcy do obławy,
Bo dziś krwawy bój!
I psy krzykną, wy krzykniecie,
Tylko chyżo w las!
Jeleń nam nie ujdzie przecie,
Spotkać musi nas.
Czy on w lewo, czy on w prawo
Wszędzie strzelca łów,
I przed wrzawą i za wrzawą
Tysiąc zmyślnych głów,
Tysiąc ramion, tysiąc złego,
Tysiąc lotnych kul, .
Świsną w niego, strzelą w niego,
Padnie lasów król!

PIEŚŃ II.

Już jesteśmy u celu dzisiejszej wyprawy,
Tu się dzisiaj odbędzie bój straszny, bój krwawy
Pan Franciszek przesmyki i ścieżki wszelakie
Obsadza, dawszy wszystkim napomnienie takie:
Że ktoby się ośmielił ruszyć z stanowiska,
Nie strzelać do jelenia, chociaż będzie z bliska,
Chybić, lub z zadaleka strzelać do zwierzyny,
Stęple, jeśli nie łozy będą za te winy.
Potem wszystkich myśliwych stawiał w sposób taki:
Pierwszym stanął, włożywszy w nos porcyę tabaki
Na ogrzewkę, Rynkowski, ogrodowy sławny,
Który wie, czego Liniusz i Plineusz dawny
O ogrodach uczyli. Mówią, że za lisem
Wpadłby w piekło, i biłby się ze samym biesem.
Po nim, przy sześćdziesiątym piątym może kroku,
Macieja Mielcarczyka postawiono z boku.
Na jego to po śmierci Rynkowskiego głowie,
Posadzą wieniec sławy myśliwi w Łukowie.
Za Maćkiem stanął kucharz, za kucharzem Śniura,
Który będąc we wojsku, w Litwie zabił tura.
Potem Józio, Antoni, strzelec z Białężyna,
Którego tajemnicza i złowieszcza mina,
Nowe czary i klątwy wszystkim przypomina.
Za nim stanął z maiszów owych jeden pięciu,
Którzy śmiali, zażarci w swojem przedsięwzięciu.
I za dzikiem pogonić na ostrze gotowi.

[5]) Organistę.

Za nim miejsce wskazano śmiałemu Janowi.
Za Janem Organiście, lepszemu w spiewaniu
Kościelnem, aniżeli na łowach w strzelaniu.
Potem mnie za chojenką ukryć się kazano,
Przytem groźnie o hańbie pudła przypomniano.
W tem huki się podniosły i przeciągłe wrzaski,
Szczekanie, klekotanie, klaskanie i trzaski.
To obława już idzie! Strzelcy pospieszyli,
By się jeszcze zawczasu wszyscy rozstawili.
Widziałem, jak po mnie Andrzeja z Poznania
Stawiano, lecz dalszego strzelców rozstawiania
Nie widziałem w gęstwinie...

Obława wszczęła wrzawę, hałaśnie, szalenie,
Każdy natęża ucha, ażali jelenie,
Rogacze, lisy, koty, wilki lub niedźwiedzie
Z miejsaa nie wyruszyły, ale nic nie jedzie.
Kraski tylko krzekocą, a kruk wystraszony
Kracze dobrą nowinę — kraczą ją i wrony.
Słychać wystrzał — i drugi — trzeci — czwarty razem
Piąty — szósty — ho! to tu zwierzynie nie płazem
Pójdzie dzisiaj, tak myślę. Wtem zachrupotało
Coś nagle na uboczu, w krzaku zaszumiało,
Żółte uszy, nos czarny widać z po za krzaka —
O dziwo! tuż podemną druga postać taka,
Do której to tu mierzyć? alić bardziej z bliska
Jest druga żółta postać mego stanowiska.
A więc do niej się składam — mierzę... mam na celu,
Już pociągam za cyngiel... cudo, jak nie wielu!
Metamorfoza, czary! zamiast zwierza w rowie,
Czapkę z lisami widzę potężną na głowie
Rynkowskiego, co zamiast sam być zastrzelony,
Z rowu nagle wyrasta i niepostrzeżony,
Do zwierza w krzaku strzela, i — chybia do kity.
— „Wypal panie, bo skórkę albo talar bity
Mieć będziesz!“ — woła do mnie, ja mierzę, zmierzyłem,
Skra błysła, śrót zaświszczał, lecz kitę — chybiłem!
Szkoda do trzystu diabłów. Lis uciął drapaka,
Jeszcze chwila — to zginie i ślad i poznaka
Wszelka po nim, — ej kontent lis dobiega rowu!
Już go nie ma, oj szkoda dalibóg połowu!
Nie! nie szkoda! ktoś strzelił, a lis na zagonie
Jak długi bogu dzięki — już szepcze przy zgonie
Za grzeszną swoją duszę modły — przy parowie.
I tak się stare, polskie, sprawdziło przysłowie,
Że co ma wisieć, nigdy w wodzie nie zatonie.
Huczy, krzyczy hałaśnie opodal obława
Rusznice plwają ogniem — strzałów nie ustawa.
To strzał jeden zahuczał, to dwa naraz strzały,
Za każdym albo padły, lub też uciekały
Zdychając lisy i koty. Wtem stu gromów wrzawa
Podniosła się w ostępie, gdzie była obława.
Głos stujęzyczny uchu myśliwca donosi:
— „Baczność!“ rogacze idą, sarna się wynosi
Ze swojej rezydencyi! — Otóż widzę sarny,
Migają się przed okiem, pędzą, gdzie ich marny
Koniec czeka, lub życie. Już słychać wystrzały...
Ot rogacz pędzi ku mnie... oczy zajaśniały
Mi ogniem od radości, gdym go spostrzegł, oko
Rzucam na cel, cel z okiem zahaczam wysoko
O środek łba rogacza — potem błyskawicą
Grom zwabiam — grom zaryczał — rogacza martwicą
Anioł śmierci zamroczył — padł rogacz jak długi!
Czyż małe położyłem na łowach zasługi?

Obława huczy, wrzeszczy szalenie, hałaśnie,
Echo do mnie donosi: „niech cię piorun trzaśnie,
Niech cię gromy siarczyste z kretesem zabiją,
Kiedy mi puścić nie chcesz przeklęta bestyjo!“
To Andrzej do rusznicy swojej tak przemawia,
Że mu krzemień dla prochu iskierki odmawia.
Schyla się więc ku ziemi, i czegoś skwapliwie
Szuka, a klnie okropnie w sprawiedliwym gniewie.
Kamień spory podnosi, i bije w rusznicę
Niemiłosiernie, aby zwabić błyskawice
Ze skałki, — rzuca kamień, i na stanowisko
Powraca. — W tem na Boga! nagle tuż tuż blisko,
Scinając rogiem krzewy, pędzon przez ogary
Jeleń jedzie tam właśnie, gdzie stał Andrzej stary,
Aż mi się krew z zazdrości do głowy rzuciła,
Że nie koło mnie biegnie zwierzyna tak miła.
Ale nie ma zazdrościć czego Andrzejowi,
On cofa się powoli tyłem ku dębowi,
Bo właśnie dawne lata mu się przypomniały,
Kiedy nań równie śmiało wrogi nacierały,
Rusznicą, jak bagnetem, wywija i kręci,
— „Zlitujcie się, pomóżcie aniołowie święci!“
A że zwierza za wroga wziął w owym momencie,
Cofa się szybko, zwinnie... nagle na zakręcie
Rowu prosto we wodę jak długi upada...
Paf! paf! paf! — „Poratujcie towarzysze, biada!“
Zawrzasnął ogrodowy, co jak cudem nowym
Aż do Andrzeja przymknął się po cichu rowem.
Wrzask się po całym lesie niesłychany szerzy,
Boć nie żarty! trzech trupów koło dębu leży.
Trup pierwszy: jeleń wisi rozciągniony w krzewie,
Przez który miał przeskoczyć. A drugi przy drzewie
Leży martwy Ogrodnik. A Andrzej z Poznania,
Stary wojak, miłośnik kawy i strzelania,
W rowie w wodzie z kawałkiem kolby na wznak leży,
A kucharz z Organistą ku pomocy bieży.
Organista, jako w wsi pierwsza po plebanie
Osoba kościołowa, o duszach staranie
Chciał rozpocząć, więc wyjął z kieszeni oprawne
W oślą skórę Officium Codzienne a sławne,
(Na Jasnej Częstochowskiej Górze drukowane)
I odmawiał modlitwy przy śmierci czytane
Konającym, requiem aeternam już właśnie
Spiewał, gdy Andrzej krzyknął: „Niech cię piorun trzaśnie
Z twoją książką, boć przecie przy boskiej pomocy“
Obudził kucharz octem obydwóch z niemocy.
Patrząc na się obadwa po nad rowem siedzą,
Co ich tak powaliło na ziemię, nie wiedzą,
Więc aby ta wątpliwość wszystkich się skończyła,
Ja to, co sam widziałem, i co podszepnęła
Wszystko wiedząca muza, opowiadać jąłem,
I rzecz swą temi słowy, jak piszę, począłem:
— „Kiedy ogar jelenia na Andrzeja zegnał,
I już blisko napędzał, Andrzej się przeżegnał,
Schwycił fuzyę i począł śmiało w rejteradzie
Opornie mu się stawiać. Alić rów na zdradzie,
Na szczęście czy nieszczęście był dla jego nogi.
Jako okszą ściętego dębu ciężar srogi
Spadający gruchoce w okół latorośle,

Tak i Andrzej, wpadając w te oto zarośle,
Swym impetem pociągnął za cyngiel szturmaka,
Którego poruszenia siła była taka,
Że natychmiast się rozpadł, a lufa rycząca,
Nad czapką Rynkowskiego i uchem lecąca,
Głowę mu szumem, drżeniem takiem napełniła,
Że dubeltówka sama dwakroć wyrzuciła
Z gardła swego saletrę. I tak więc trzy strzały
Z impetu i przypadku Andrzeja powstały,
I jelenia do bogów podziemnych posłały".
Co Andrzej gdy posłyszał, mruczy sobie cicho:
— „Niech cię rusznico diabeł, z piekła porwie licho,
Kiedyś mi bez mej woli tak sama puściła,
I w ręku kawał tylko kolby zostawiła,
Twoje szczęście, żeś tylko jelenia ubiła!"
Co powiedziawszy, Andrzej okiem tryumfującem
Potoczył po Rynkowskim wybladłym i drżącym,
I to dosyć dla niego! kolby nie związawszy,
Pakuły, proch i kule w kieszeń wpakowawszy,
Mruczy jeszcze po cichu: — Jeleń za niedźwiedzia
Służyć może, niech zrobią teraz ze mnie śledzia!...
Tymczasem się naganka wcale nie przerwała
Tym szczęśliwym wypadkiem. Obława huczała
Jak i dawniej, a strzelcy czekają zajęcy,
Bo przez nie mogą sobie sławy zjednać więcej.
Pan Wojski [*]) by nas wyśmiał — do czarnego zwierza
Rusznicę wprawna ręka jego tylko zmierza.
Lecz gdy na czarnem zwierzu u nas często zbywa,
Dla tego taka niechęć i ku kotom bywa.
Strzałów było, jak gradu, tak dzielnie walili,
Że co z duszą uciekło, czego nie zabili,
Za dziesiątą granicę pewnie wygonili.

Lecz otóż widać chłopców, nawet i samego
Obławy i klekotek wodza, borowego.
Wszyscy schodzą z stanowisk, i łupy swe znoszą,
Łają się, przymawiają, na tabaczkę proszą,
Pocieszycielką łowów, wódką się częstują,
I łupów chlubnych sobie wzajemnie winszują.
Każdy gwarzy, popija, każdy się weseli,
Dwoje tylko myśliwców radości nie dzieli,
Stanęli na uboczu, gniewem się unoszą,
I przed pana Franciszka zatargi swe wnoszą.
Był to Andrzej z Rynkowskim, co razem strzelali
Mimo woli i chęci — teraz zaprzeczali
Sobie wzajem jelenia. Rynkowski zaczyna
Temi słowy: — To każdy sobie przypomina
Ze świadków, co widzieli zgon i śmierć jelenia,
Z jak małego do niego biłem oddalenia,
Tak, że nie mogłem chybić — jakoż nie chybiłem,
Lecz owszem w prawe oko, lub niżej trafiłem,
Bo jakiego dał susa, jak się wtedy potknął,
Jak potrząsnął rogami, pyskiem ziemi dotknął,
Tom widział doskonale na me oczy własne!"
— „Bodajby cię gromy zatrzaskały jasne!"
Wykrzyknął stary Andrzej, aż zadrżały szrony,
Którym, jak pierzem, starzec dąb był oblepiony,
A takie ognie w oczach, tak miał wzdęte lice,
Jak pomiędzy czarnemi chmury błyskawice
Swiecą w nocy. — „Do milion fur diabłów tysiąca,
Bodajbym kawy nie pił z półtora miesiąca!
A pocoś tu przychodził z twego stanowiska?
Chociaż już jeleń nie był tuż odemnie z bliska,
Jednak jakem wypalił, to aż młode lata,
Aż się dziaduś przypomniał! A ty mi do kata
Chcesz jelenia zrabować! A ktoś ty mi taki?
Paszoł do swej cebuli, perek i tabaki!!"
Sędzia na takie klątwy: — „Trudna sprawa z wami,
Dajcie wy mi tam pokój! prawujcie się sami,
A jeżeli koniecznie chcecie rozsądzenia,
Andrzejowi z Poznania przysądzam jelenia,
Bo Rynkowski już przez to na stemple zasłużył,
Że zszedłszy z stanowiska, was tylko tu durzył".
Podczas takowej kłótni stary Józef staje,
I panu Franciszkowi taką radę daje:
— „Niech oni się tam kłócą, niech i za łby wodzą,
My polujmy, bo Panie nie codzień się rodzą
Takie łowy, jak dzisiaj. Jeszcze raz załóżmy
Nagankę na rogacze i łupy pomnóżmy.
I wtedy dwie naganki były, kiedym tura
Zabił na Litwie!" — tak rzekł stary Józef Sniura.
Z śmiałością energiczną wymówił te słowa,
To też skutek pomyślny sprawiła wymowa.
Uchwalono nagankę, lecz w samym zarodzie,
Stanął jej z Białężyna strzelec na przeszkodzie,
Którego tajemnicza i złowieszcza mina
Czary, zaklęcia straszne wszystkim przypomina,
Z zachmurzonem i smutnem i posępnem czołem
Stanął i tak zaspiewał przed myśliwych kołem:

> Mruga słonko, szemrzą drzewa,
> Wiatr świszczący w nie powiewa,
> Wszystko, wszystko mi to spiewa,
> Że las dzisiaj źle się miewa,
> Las dąbrowy, dokąd chcecie
> Iść na łowy, a nie wiecie,
> Że dziś nic nie zabijecie,
> Nigdy w świecie, nigdy w świecie!
> „Niechaj łowcy we Wiliją,
> — Mawiał mistrz mój Szabatyjo —
> Dwakroć zwierzyny nie biją,
> Bo nic nigdy nie zabiją!!"

Po tak groźnej i dzikiej myśliwi piosence
Od zamiarów powziętych opuszczają ręce,
Więc ażeby przywołać łowców rozpierzchnionych,
Zrachować wszystkich zwierzów dzisiaj zatraconych,
Jan śmiały w trąbkę zagrał, i jak Wojski w Litwie,
Po walnej w Soplicowie z niedźwiedziem gonitwie,
Tak i Jan wtedy trąbił, w tej tylko odmianie,
Że Wojski trąbką spiewał całe polowanie,
A Jan tylko udawał ogarów szczekanie.
Jak kiedyś powołani trąbą Archanioła
Wstawszy z grobów, trybunał sędziego do koła
Otoczym niespodzianie, — tak i na głos Jana
Myśliwi, psy, obława, i zdobycz zebrana
W jedno miejsce się skupia. Łupy zrachowawszy,
Pochwały i pogromy po kolei dawszy,
Tak jak każdy zasłużył, pan Franciszek głośno
Zadowolon łowami zawołał radośno:
— „Padł jeleń, cztery sarny, trzydzieści zajęcy,
Piętnaście starych lisów! — czegoż chcecie więcej?"
Ale nie na tem koniec. Bo strzeleckim dawnym
Obyczajem u swoich i nie swoich sławnym,

*) Pan Wojski Hreczecha w Panu Tadeuszu Mickiewicza.

Przy końcu polowania, przy końcu naganki,
Zaczynają myśliwi uczty i hulanki.
Piją, jedzą, gawędzą i z łupów się cieszą,
A po uczcie dopiero do domów swych spieszą.
Tak było i w Wiliją. Z wozów wydobywszy,
Szynek, kiełbas i mięsa, z beczek utoczywszy
Piwa i wódki, wina postawił antałek
Na pniu wielkim, szerokim Jaś kuchcik Rypałek.
Tego tylko tłumowi srodze zgłodniałemu
Potrzeba było. Mknie się więc ku pniu owemu,
Kto tylko w Boga wierzy. Otoczyli wałem
Dwoistym pień z mięsiwem, a po gronie całem
Obchodziło kolejką naprzód pogrzebowe
Dla rogaczy, jelenia, któremu dziś głowę
Niemiłosiernie Andrzej zgruchotał, — a potem
Nie gardząc też mizernym i płochliwym kotem,
Za niego czarki z wódką, winem wychylają,
Chlebem, szynką, mięsiwem szybko zakąsają.
Napróżno Organista wzywał do pokuty,
Napróżno utyskiwał, że świat tak zepsuty,
Że zamiast jeść suszone grzybki i korzonki,
Myśliwi w Wilię jedzą kiełbasy, pieczonki!
Jeszcze dwoje Ojcze nasz może nie minęło,
A już mięso w łowieckich gardłach potonęło.
Nagle się jakieś twarde i złowieszcze tony
O uszy odbijają — każdy przestraszony
Ogląda się i widzi — trąbkę w ustach Jana,
A z trąby się rozlega pieśń jak na psy grana!
— „Zdrada — każdy zawołał — a do licha, zdrada!
Lisa czy wilka, czy co jedliśmy? o biada!
Przed sądy was zapozwę! zanadto shańbienia!
Niecnoty! zachoruję! — nie do odpuszczenia!“
Tak jęczeli niektórzy z młodszych, oszukani.
Ale starsi myśliwi, co jak lisy szczwani,
Spodziewając się zdrady, nie dotkną mięsiwa,
Dopóki nie zobaczą, że je sam spożywa
Mistrz łowów, stali z boku, szydząc z nieświadomych,
Tak łatwo oszukanych, na lisa łakomych,
Tymczasem, gdy tak każdy grozi, wykrzykuje,
Pan Franciszek powoli na pieniek wstępuje,
Czapkę z głowy zdejmuje, rękę w górę wznosi,
I krzycząc z całej siły, o głos wszystkich prosi.
— „Panowie bracia — łowcy, starzy towarzysze
Z pod Warszawy, Grochowa... nie bardzo, jak słyszę
Z tych tu leśnych bankietów jesteście kontenci,
Najedliście się lisa!! (wiem ja, co się święci)
Żal mi was, lecz cóż począć?! Otóż ja was spraszam
Do siebie — gdzie łowiecki obiadek ogłaszam!
Przecież nie odrzucicie! mieszkam w pobliskości
Ja nie dam na stół gościom podobnych dzikości!
Owszem wszystkiego będzie obfito i hojnie,
Ku serca pokrzepieniu — po tak dzikiej wojnie!“
— „Brawo! łaskawy Panie! w to mi graj, aż miło
Niech żyje, przystajemy — znów się będzie piło!
Dalej na wozy spiesznie! A cóż to fornale,
Czyż koni biczem podciąć nie umiecie wcale?
Toć nie z pogrzebem jedziem! spiewajmy! spiewajmy!
Póki nie umrzem, żyjmy, pijmy i hulajmy!

Łukowo w r. 1840.

O NIEDŹWIEDZIACH NA LITWIE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

Ojczyzną niedźwiedzia litewskiego są lasy gubernii Mińskiej. Zdarza się wprawdzie nie rzadko niedźwiedź w lasach gubernii Wileńskiej, są także i na Białej Rusi, ale można na pewne twierdzić, że to są niedźwiedzie przechodnie z puszcz Mińskich, a mianowicie z powiatów Borysowskiego, Ihumeńskiego i Bobrujskiego z częścią Słuckiego, stanowiących dotychczas nieprzerwane pasmo lasów na przestrzeni kilkuset mil kwadratowych. Nawet na tak zwanem Polesiu, to jest w powiatach Pińskim, Mozyrskim i Rzeczyckim jest ich dużo mniej a to dla tego, że to są miejscowości przeważnie błotne, niedźwiedź zaś przedewszystkiem gąszczów trzymać się lubi. Chociaż dzielą ich na kilka gatunków, nie zdaje mi się to być żadnym pewnikiem. Zabiłem niedźwiedzicę, której potomstwo w przeciągu roku wziąć można było za trzy odmienne zupełnie między sobą gatunki. Jeden samiec był duży, prawie czarny, bez żadnej białej odmiany, drugi mniejszy białoszyjek z bardzo pięknem futrem koloru ciemno bronzowego. Samica była całkiem ruda. Taż sama różnica była w ich charakterach. Samica, którą darowałem panu J., horodniczemu w Słucku, wyrosła na najzłośliwszą istotę, i trzeba ją było po roku zabić, ponieważ omal nie zagryzła swojego bardzo na nią łaskawego pana, napadłszy go spiącego w łóżku. Białoszyjek także przed dojściem do pełnoletności, musiał być zabity za niepamiętam już jaką zbrodnię, której się dopuścił. Mój tylko, którego hodowałem przez lat cztery, wyrósł mi na ogromnego z najłagodniejszym charakterem i najkrotofilniejszem usposobieniem niedźwiedzia, przez całe swoje nie długie życie był pociechą całego domu, i ani razu nie zasłużył nie tylko na karę, ale na surowsze nieco z sobą obejście. — To też nie chcąc go bynajmniej stawić za wzór charakteru niedźwiedziego, przeciwnie mając go za rzadki egzemplarz, a nawet za wyjątek swojego rodzaju, poświęcić muszę jego pamięci dłuższy nieco ustęp, choćby tylko dla poparcia mego przekonania, że niedźwiedzie jednego gniazda mogą być całkiem do siebie nie podobne, różnić się wzrostem, kolorem włosa i charakterem, i że takie między nimi zachodzą różnice, jakie między ludźmi w najbliższych rodzeństwach widzieć się zdarza. Z kilkudziesięciu niedźwiedzi, które albo sam hodowałem lub widziałem hodowane, lepiej jak z dzikich, na które polowałem, poznać mogłem, że się wyradzają między nimi tak samo jak między ludźmi indywidua mniejsze i większe, odważniejsze i tchórzliwsze, łagodniejsze i złośliwsze, inteligentniejsze i tępsze, a nawet w gustach i usposobieniach nie wszystkie są sobie podobne, gdyż są odludki i są towarzyskie, są ponure i są wesołe, są nawet mniej od innych łakome i obżarte. Mój, jak go nazywaliśmy Myszek był pod tym względem zbiorem wszystkich stron dodatnich. Duży, piękny, miękkiego i bardzo ciemnego a gęstego włosa, podobał się dla oka, łagodny i wesoły potrafił sobie zyskać serca wszystkich domowników, dla obcych zaś nie był strasznym, bo zdawał się pojmować, że dla nich właśnie powinien być najuprzejmiejszym. Z końmi i psami domowymi żył w najlepszej zgodzie, przypuszczając do pewnego rodzaju z sobą konfidencyi, nawet wieprza, jednego z tych faworytów, które się trzymają przy kuchni na kiełbasy przed Nowym Rokiem, pozwalał mu jeść ze swojego zawsze dobrze uprowidowanego koryta, i siedząc poważnie patrzał się wtedy na niego z pewnem przyjaznem usposobieniem dłań w oku, od

czasu do czasu wstawał, właził mu na grzbiet, obejmował i ściskał za brzuch, jakby mówiąc: Dość już tego, nie objadaj się tak żarłoku, chodź raczej pobawić się ze mną, na co mu wieprz tylko chrząkaniem zadowolenia odpowiadał. Budka jego i koryto stały nieopodal kuchni między czterema lipami, na jednej z nich był dzwonek do zwoływania czeladzi na obiad, i do tejże był przytwierdzony łańcuch z obróżą, którą mu musiano dziesięć razy na dzień nakładać, ponieważ umiał się jej pozbywać, a tak był łagodny, że tem nikogo nie niepokoił. Chodził też najczęściej wolno, trzymając się pobliża lip, gdzie miał zawsze dobrane towarzystwo dobrych znajomych i dzwonek, którego umiał używać, wzywając najlepszego swojego przyjaciela kuchcika, aby mu puste koryto napełnił. Na noc tylko nakładano mu ciaśniejszą obróżę, której przez głowę nie mógł już zrzucić, kagańca zaś, który był zawsze na podorędziu, nie miał nigdy, bo nań ani razu sobie nie zasłużył. Ta łatwość jego pozbywania się obróży była raz powodem najzabawniejszej sceny. Miała się razu jednego odbyć licytacya skór lisich, wilczych, łosich i bobrowych, których przez rok zbierała się dość znaczna ilość po polowaniach Radziwiłłowskich, i na takową zjechali się żydzi z kilku sąsiednich miasteczek, a mianowicie z Klecka, Nieświeża, Lachowicz i Kopyla. W oczekiwaniu na licytacyę, która się miała po moim odbyć obiedzie, zebrali się żydzi przed Myszkiem, admirując jego różne figle i pocieszne przy nich ruchy. Raptem spostrzegają, że to wszystko odbywa się w porządku, ale już bez łańcucha, którego swoim zwyczajem Myszek pozbył się niepostrzeżenie. Żydy zatem w nogi, i proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedym ujrzał z ganku całą licytacyę w cwał lecącą na most, ku karczmie, gdzie ich konie stały, w największym nieładzie i popłochu, i Myszka w najkomiczniejszych podskokach i lansadach, dążącego za nimi. Rzucili się myśliwcy i odprowadzili zbrodniarza, na łańcuch, ale ze dwadzieścia sztuk żydów i żydówek leżało na brzuchach po drodze, a licytacya musiała być odłożoną dla różnych niedyspozycyi żołądkowych, i innych, z któremi żydzi popowracali do domów. Samotności znieść nie mógł, i szukał zawsze jak najliczniejszych zgromadzeń, pełno go było, gdzie tylko dużo było robotnika, i całe dnie spędzał na dachu, który pobijano gontami, na różnych figlach i niewinnych psikusach, wyrządzanych robotnikom. Zwykle potem zmęczony zasypiał, z czego korzystając zrzucano go z dachu, i nic śmieszniejszego, jak te miny wpół zdziwione, wpół gniewne, które wyrabiał po każdej takiej niespodziance, nie zrażał się tem wszakże, i lazł znowu na dach do uszczęśliwionych tem jego niezadowoleniem przyjaciół. Jednym z ulubionych jego figlów było zakraść się do pracujących w ogrodzie wiejskich kobiet dla łasowania im z woreczków z chlebem, porozwieszanych na drzewach i krzewach. Zdobywszy który, uciekał tak, żeby go widziano, dawał się dogonić, i bardzo często samym kobietom pozwalał sobie odebrać zdobycz, gdyż robił to z figlów jedynie. Przedziwnym był na wodzie z pływającą pustą beczką, na którą wciąż wleść usiłował, a zawsze bezskutecznie. Najlepiej wszakże poczciwa jego natura wykazywała się w zabawach ze mną. Skoro mnie ujrzał ubranego w chłopską świtę, wiedział już, co to znaczy, chował się więc za drzewo, a ja udawałem, że go nie widzę, i szukałem go powtarzając: „Gdzie to mój myszek, co to jest, że mojego Myszka tu nie ma. Wtedy raptem się ukazywał, i albo uciekał, a ja go doganiałem, albo rzucał się na mnie, chwytaliśmy się za bary i borukaliśmy się czas jakiś. Otóż od czasu, kiedy w istocie słabszy odemnie musiał się mi poddać, aż do pełnego swojego wzrostu, był dla mnie z jednakową względnością i delikatnością, zawsze pozwalał się zwyciężyć i obalić na ziemię i nigdy nie dał mi poczuć ogromnej przewagi sił swoich. Przypominając sobie teraz ten łeb jego ogromny i tę wielką paszczę i zęby tuż obok mojej twarzy, powiadam sobie, żem był bardzo głupi wdając się w tak nierówne zapasy, ale wtedy, o ile sobie przypominam, ani mi do głowy przyszło kiedy pomyśleć, że Myszek mógł mnie skaleczyć, albo jednem ukąszeniem lub serdeczniejszym uściskiem, życia pozbawić. Lubił bardzo towarzyszyć mi w spacerach moich konno, prócz ciągłego galopa, w którym wyrównywał nawet koniowi idącemu dobrym galopem, nie było większego przy drodze drzewa, na które by nie skoczył na to, żeby zleść natychmiast doganiając mnie w najpocieszniejszych gambadach i podskokach. Rozumie się, że go brałem tylko w takie drogi, gdzie nie mogliśmy się spotkać ani z damami, ani z końmi, które się jego widokiem straszyć mogły, ale właśnie ponieważ wybierałem lasy i najmniej uczęszczane drogi leśne, zastanawiałem się nie raz, dla czego nigdy nie miał ochoty skorzystać ze sposobności, jaką miał pozostania w lesie, wyraźnie nigdy mu podobna myśl w głowie nie postała, im gęstszy był las, tem bliżej mnie się trzymał, a wróciwszy do domu uszczęśliwionym się zdawał ze swoich czterech lip, dzwonka, budy wysłanej świeżą słomą, koryta pełnego i dobrych znajomych, którzy go brali na łańcuch. Nie jeden to nam znajomy charakter przypomina, i nie jedno ludzkie usposobienie tłumaczy, przywykł do wygodnej niewoli, i ta już mu nie ciężyła! Nie lubił wódki*, chociaż ją wszystkie hodowane niedźwiedzie bardzo lubią, chcąc go upoić, trzeba mu było wódkę tak gęsto rozrobić z miodem, żeby słodycz zagłuszyła całkiem smak wódki, wtedy zjadał pełną tego misę, i przechodził przez wszystkie fazy najpocieszniejszego upojenia, od lekkiego podchmielu, aż do spicia się kompletnego i bezwładności. Zaczynał od tego, że siedząc poważnie jak człowiek na ziemi, plecami o jedną z lip oparty, z jedną nogą pod siebie podkurczoną, a drugą naprzód rozkosznie wysuniętą, gestykulował łapą, jakby unoszony jakiemś fantastycznem marzeniem, potem w miarę jak mu trunek szedł do głowy, brał się obiema łapami za łeb, i coś zrzucał, mniemając zapewne, że nie w głowie, ale na głowie coś mu zawadza i cięży, to wszystko przy najkomiczniejszych minach i ruchach, po czem zasypiał, i przez kilkanaście godzin dobudzić się go nie było można. W takim też stanie i zginął. Dowiedziawszy się o strasznym wypadku u hr. Olizara na Wołyniu*, gdzie hodowany i tak samo pieszczony niedźwiedź zadarł guwernantkę, wielką swoją przyjaciółkę w chwili właśnie, kiedy ta dawała mu jakieś łakocie, postanowiłem nie czekać, aż mój Myszek podobnym odznaczy się czynem, i kazałem go zabić, wprzódy go w ten sposób ubezwładniwszy. Tak mi go jednak żal było, że nie chcąc tej egzekucyi asystować, wyjechałem na dni parę z domu. Odtąd nie miałem już serca hodować tych zwierząt, które chociaż dawniej po klasztorach i dworach pańskich późnej miały doczekiwać starości, obracając pieczenie i rozmaite oddając posługi, dziś z postępem cywilizacyi, użytecznemi być nie umieją, a szkodliwemi i niebezpiecznemi są zawsze. Wprawdzie postępowanie z nimi nie może ich dobrze ku ludziom usposabiać, od dzieciństwa trzymane na uwięzi, w niewygodzie, błocie, zimnie, nieczystości i wilgoci, źle karmione, a ciągle kijem szturkane, muszą wyrość na dzikie, żarłoczne i złośliwe stworzenia, ale i przy najlepszem utrzymaniu i traktowaniu, nie radzę nikomu zaufać mu zbytecznie, prócz bowiem mojego Myszka nie znałem ani jednego hodowanego niedźwiedzia, któryby najdalej w drugim roku, brutalstwem swem, łakomstwem i obżarstwem, a chytrem i rozbójniczem usposobieniem

*

nie zasłużył sobie jeśli nie na kulkę, to na kij i łańcuch. Dziwne też zachodzi podobieństwo ich charakteru z charakterem niektórych indywiduów pewnej narodowości, dotąd na łańcuch nie wziętej, a od kija zwolnionej, które bliżej poznać trzeba, żeby się przekonać, jak słusznie je niedźwiedziami ludzkości nazywają. To też w wiecznej wojnie tak z jednymi jak z drugimi, pomówmy o niedźwiedziach w stanie dzikim zupełnie, i o polowaniach na nie.

Z pierwszymi śniegami rozpoczyna się na Litwie osoka na niedźwiedzie. Odbywa się ona w następujący sposób. Codzień osocznicy obchodzą ostępy swoje, upatrując tropów niedźwiedzich. Jeżeli niedźwiedź wszedł do którego, a nie wyszedł, znaczy to, że już zrobił w nim swoją łohwę, i zimę w niej przepędzić zamierza. Wtedy niedźwiedź jest osoczonym, i odbywa się tylko codzień tak zwany obchód dla przekonania się, że z ostępu nie wyszedł. Jeżeli śniegi się opóźniły, niedźwiedzie kładą się po tak zwanej czarnej stępie, i miejsce ich pobytu jest nie wiadome. Wtedy osocznicy robią tak zwane przetrząsanie odstępów, to jest po pierwszych śniegach idą w kilku, i przechodzą takowe wzdłuż i w szerz hukając i trzaskając z harapów, zmuszając tym sposobem niedźwiedzia do opuszczenia łohwy, i przeniesienia się do drugiego ostępu, gdzie go ostatecznie osaczają. Taki niedźwiedź nazywa się podruszony. Nie zawsze niedźwiedź daje się z łatwością ruszyć z miejsca, a niekiedy i niebezpiecznym dla osoczników się staje. W r. 1857 polowaliśmy z hr. Michałem Tyszkiewiczem w lasach do majątku Bobra należących na podruszonego niedźwiedzia, który właśnie przy tej operacyi zadarł człowieka. Rzecz tak się miała. Ponieważ niedźwiedzie pokładły się po czarnej stępie, a osocznicy domyślali się, że w jednym z ostępów musiał się położyć niedźwiedź bardzo duży i zły, który prócz szkód wielu w zbożach i barciach, kilka sztuk koni i bydła jesienią zabił, postanowili przetrząść ten ostęp. Trzech ich zatem, wszyscy trzej rodzeni bracia, udali się na tę wyprawę. Nim wszakże rozpoczęli swą czynność, rozłożyli na brzegu ostępu ogień. i przy nim zasiedli do śniadania. Nieszczęście chciało, że się wszystko działo bardzo niedaleko łohwy niedźwiedzia, który jak się z tropów potem przekonano, wstał, ale zamiast uciekać, zły, że mu ktoś pod nosem dymić się ośmielił, zaczął chodzić koło łohwy, którą mu boleśnie było opuścić. Po śniadaniu starszy osocznik posłał jednego brata na lewo, drugiego na prawo, i ruszyli ławą hukając i klaskając z harapników. Ale zaledwie uszli paręset kroków, usłyszeli ryk straszny niedźwiedzia i jeden krzyk tylko człowieka — starszego ich brata. Gdy się obaj zdobyli na odwagę podejść, nie znaleźli już niedźwiedzia, tylko trupa brata, kilku ukąszeniami w głowę zabitego. Niedźwiedź przeszedł kilka ostępów do ostępu, gdzie go nareszcie osoczono, i gdzie go spolowaliśmy w kilka tygodni potem. Że zaś to polowanie nie obeszło się bez ciekawych dalszych sprawek tego w swoim rodzaju bohatera a la Hurko, muszę takowe nieco szczegółowiej opisać. Ostęp, w którym leżał, gęsto po środku zarosły i pełen kłód, zawałów i rozmaitej leży, z jednej strony miał czysty bór sosnowy, z drugiej błoto rzadko zarosłe; postawiono zatem mnie z hrabią Michałem w najwęższem miejscu tego gąszczu w odległości 40 kroków jeden od drugiego w przekonaniu, że tym oszyjkiem iść będzie musiał. Że zaś z taką sztuką ostrożnie sobie poczynać należało, umówiliśmy się nie strzelać go daleko, ale po tej stronie kłody, leżącej przed nami na kroków nie więcej trzydziestu, a przez którą lub obok której koniecznie przejść mu wypadało. Czerta czyli linia ostawiona obławnikami szła z tyłu za nami o kilkaset kroków odległości wielkim gąszczem, przez który nic widzieć nie można było, na lewo od nas na borze, i na prawo na błocie stało po kilku strzelców i myśliwców. Pierwszym odemnie na sto kroków odległości stał niejaki Sobotkowski, szlachcic, podłowczy hr. Michała. W pół godziny niespełna po otrąbieniu się dojeżdżacza i puszczeniu psów, usłyszeliśmy w niewielkiej od nas odległości naszczekiwanie psa na miejscu, potem powolny gon za idącym powoli zwierzem, potem trąbę dojeżdżacza sygnalizującą niedźwiedzia, w ślad zatem trzask i łamanie się przed nami gałęzi, i ujrzałem niedźwiedzia idącego wprost na nas w kierunku wspomnianej wyżej przezemnie kłody. Daliśmy sobie wzajemnie znak z hr. Michałem, i przygotowaliśmy się do strzału, kiedy raptem ozwał się gon kilku psów, i niedźwiedź idący dotąd stępo i wprost ku nam, puścił się w galop, czyli jak mówią nasi strzelcy przez nogę, i już nie oszyjkiem, na którym go czekaliśmy, ale czystym borem na lewo odemnie. Widziałem go doskonale, ale w tej odległości i pomiędzy drzewami strzelać go nie mogłem, tem bardziej, że to się sprzeciwiało naszej umowie. W tem na lewo odemnie pada strzał i widzę niedźwiedzia, który ryknąwszy zamienił się w jakąś czarną w pyle śniegowym toczącą się bryłę. W mgnieniu oka był już na leżącym pod nim Sobotkowskim, którego obecności na sto kroków odemnie za kilku grubemi sosnami przedtem nie zauważyłem. Rzuciliśmy się z hr. Michałem na jego ratunek, ale nim kilkanaście kroków każdy z nas zrobił, niedźwiedź zlazł z Sobotkowskiego, i rzucił się w tymże wściekłym galopie w gąszcz, gdzie nam z oczu zniknął, w stronę czerty, na której chłopi widząc, co się dzieje z Sobotkowskim, hałasem i krzykiem chcieli go odstraszyć. Myśleliśmy, że przerwie, i już tylko Sobotkowskim byliśmy zajęci, kiedy dał się słyszeć wśród ogromnej wrzawy obławników strzał i wkrótce trąba wyciągłego zwiastująca, że niedźwiedź zabity. Cóż się pokazało? — że niedźwiedź zaprawiony na Sobotkowskim zamiast korzystać z popłochu i uciec, puścił się wzdłuż czerty za uciekającymi i przewracającymi się co krok chłopami, ma się rozumieć nie żałował fatygi, i nie zatrzymując się nad żadnym długo, gryzł jednego po drugim, aż doszedł tym sposobem do stojącego na czercie łowczego Janczewskiego, który go na chłopie jednym strzałem pod ucho zabił. Pokąsanych chłopów było jedenastu, wszyscy bardzo lekko, naprzód, że niedźwiedź nad żadnym długo zastanawiać się nie chciał, powtóre, że chłop tameczny nigdy w takich razach szlachetniejszych części ciała swego nie nadstawia. Sobotkowskiego ugryzł dziewięć razy, zaczynając od pasa skórzanego, na którym były pierwsze ślady jego zębów aż do karku, gzie był ostatni, dziesiąte ukąszenie mogłoby być niebezpieczne, bo jużby się głowie musiało dostać, szczęściem, że się bez niego obeszło, z dziewięciu zaś ukąszeń, jedną tylko Sobotkowski nieco głębszą wyniósł ranę na karku nad samym kołnierzem, reszta zginęła na myśliwskiej, podbitej grubym baranem kurcie tak, że na ciele zaledwie kilka lekkich śladów zębów pozostało. Tłumaczył się Sobotkowski, że strzelił jedynie na to tak daleko, żeby niedźwiedzia zwrócić ku nam, ale czy tak rzeczywiście było, nie ręczę, to tylko pewne, że musiał dobrze stchórzyć, kiedy mając jeszcze jeden strzał z dubeltówki, nie użył go w chwili najkrytyczniejszej, kiedy niedźwiedzia miał na kilka kroków przed sobą. W każdym razie lepiej na tem wyszedł, bo któż wie, czy niedźwiedź ranny tak łaskawie by się z nim obszedł. Obeszło się zatem wszystko małą ilością szarpii, dużo znaczniejszą wódki i kilkudziesięciu rublami rozrzuconymi między rannych, których w kilka dni potem widziałem na czercie stojących, i bynajmniej nie zrażonych małemi uszkodzeniami mniej szlachetnych części swego ciała.

(Dokoń. nast.)

KORESPONDENCYE.

Z zachodnich Prus d. 26. Lipca 1878.

Jako stary myśliwy — witam serdecznie pismo poświęcone łowiectwu, życząc powodzenia, a przytem łączę do użytku parę słów, jako dopełnienie do opisów ciekawych o wilkach.

Wilk wspólnik uczty myśliwskiej.

Tyle ciekawych podaje „Łowiec" szczegółów o wilkach, że wzięła mnie chętka dodać ciekawy epizod z polowania na gniazdo wilcze.

Znany był na całą Litwę obywatel Dagobert Cieplicki z przygód awanturniczych łowieckich, o nim i sławnej jego karej klaczy pełno podań, a ostatnia nawet po sobie ma kopiec. Na polowaniu w dobrach jenerałowej Niesiołowskiej, ostatniej z rodu Paców, pan Dagobert ze swymi psami, na owej klaczy, zapędził się daleko w pole za wilkiem. Wprawne psy wilka chwyciły, a Dagobert zeskoczył z klaczy i wilka spętał w ten sposób smyczą, że pysk i tylne nogi związał silnie, dopomógł mu w tem nadbiegający jego strzelec. Mając tak skrępowanego wilka, przewiesił przez plecy, i z tą zdobyczą wracał na folwark, gdzie towarzysze polowania obiad zajadali. Zaproszono i wilka na obiad, przywiązano do krzesła, ale bestya nic jeść nie chciała. Rozochoceni myśliwi wnieśli zdrowie Dagoberta i wilka, i wilkowi gwałtem wlano butelkę wina szampańskiego. Wilczysko nie mało wina musiało połknąć, bo gwałtawnie wlewano. Po uczcie wilka wpakowano do worka, i dalej za bramę z nim, by sprawić łatwe, jak się zdało, szczucie wilka psami, a w końcu zabić. Myśliwi ustawili się gęsto, tak, że zdawało się nie sposób, by wilk uszedł. Zaraz za bramą puszczono wilka z worka, ten przez chwilę stał przestraszony na miejscu, i obzierał się w koło, a gdy myśliwi gorączkowo śledzą i wyczekują, jak zacznie w pole uciekać wilk mądry zadrwił z nich, bo raptem posunął między ludzi w tył w bramę, i znikł między budynkami, przesadził gdzieś płot, i znikł bez wieści. Tak więc szampana się napił i na podziękę odpłacił drwinkami, wymykając się po angielsku bez pożegnania.

Co do zabicia wilków w dziedzińcu, jak podaje zacny pan Barthels, to jako długoletni doświadczony myśliwy mogę dodać, że u nas na Litwie często wilki, szczególnie w czasie wielkich śniegów, a z wierzchu nie przymarzłych, w dziedzińcach lub na gnojowiskach się zjawiają i leżą wypoczywając lub czatując na zdobycz, a może, jak twierdzi pan Barthels, na starość proszą o śmierć. Co się tyczy polowania z prosięciem, to główna rzecz udania i bezpieczeństwa zależy w tem, by mieć konie oswojone i leniwe; nigdy wilki napaści nie posuną do ostateczności, gdy się jedzie jednostajnie powoli — mają respekt, a rozzuchwalają się tylko wtedy, gdy widzą, że się ich boi i ucieka. Długoletnie doświadczenia dały mi tego dowód, że nie przyspieszając jazdy trzyma się wilków w przyzwoitej odległości na strzał, i bezpieczeństwo zapewnia.

Adam L. Sołtan.

Z nad Wisły.

Z wszystkich prawie już stron kraju czytałem sprawozdania o stanie zwierzyny i o sposobach polowania na nią, tylko z naszego oddalonego kąta jeszcze nikt ani słowem nie odezwał się, mimo że i u nas są prawdziwi myśliwi, starający się o podniesienie łowiectwa, że i u nas trafiają się także wypadki godne umieszczenia w „Łowcu", a fakt, o którym mówić zamierzam, a którego byłem naocznym świadkiem, jest może jedynym w swoim rodzaju. — Mówić tu chcę o polowaniu na dziki w Zbydniowie, u p. Bogusława Horodyńskiego. Koło samej wsi Zbydniowa jest lasek mający około 200 morgów, zarosły dębiną, sosniną i laszczyną Lasek ten jest położony w środku pól, i oddalony od najbliżej leżących lasów o parę kilometrów, służy on już od dawna niejako za popas dla zwierzyny przechodzącej z lasów za granicą położonych do lasów Rozwadowskich i innych. I tak w zeszłej jesieni straż lasowa otropiła 9 dzików przechodnich, polowano na nie zaraz i zabito pięć. Tego zaś roku w styczniu zaczęły przychodzić dziki stadami, lecz zawsze zostawały tylko kilka godzin w nocy, na dzień zaś wychodziły, niepodobna więc było na nie polować. Otóż pan Horodyński wpadł na szczęśliwą myśl polowania z pogonką w nocy. W tym celu zaprosił nas kilku sąsiadów, i w pyszną noc księżycową, około pół do jedynastej na dużym śniegu rozstawił nas na polu w rowie obrośniętym olszyną na jakie 1000 kroków od lasu. Kiedy już ostatni strzelec zajął wyznaczone mu stanowisko, dano znać pogonce, aby zachodziła. Zaledwie ta rozstawiać się zaczęła, dziki w liczbie 18 wyszły na prawe skrzydło, gdzie dwóch leśnych miejscowych przyjęło ich trzema strzałami, my zaś stojąc dalej widzieliśmy tylko błyski w kierunku lasu, domyśleliśmy się więc, że dziki zwróciły do kniei. Nastała chwila ciszy i oczekiwania. Nareszcie pogonka się odzywa i jednocześnie widzimy wszyscy stado dzików, wysuwających się z lasu i zatrzymujących się na polu. Któż zdoła opisać naszą niecierpliwość, oczekiwanie i niepewność? Kto jest prawdziwym myśliwym, kto ma gorącą krew w żyłach, ten sobie wystawi, co się z nami działo, gdyśmy tak stali patrząc przez kwadrans na 17 dzików, na czystem polu posuwających się ku nam to na prawo, to na lewo, to znowu zbijających się w kupę i wietrzących. Szczęściem wiatr był dobry, dziki nawąchawszy się do woli, wyciągnęły się nareszcie jednym sznurem, wyszły prosto na mnie. Strzelam do pierwszego, dziki zwracają w tył, strzelam w kupę drugi raz i widzę z rozpaczą, że całe stado zmyka nazad do lasu. Sąsiad mój pan Gutowski z Nadbrzezia strzela na 120 kroków dwa razy, i jeden dzik pada na miejscu. Dziki wpadły na pogonkę, część się przez nią przebiła, część zaś poszła bokiem po za naszą linię. Po zbadaniu trupów przekonaliśmy się, że leśni ranili jedną, ja zaś dwie sztuki. Gospodarz uczynił nam słuszną uwagę, aby szukanie odłożyć na dzień, do jutra. Poszliśmy więc za jego radą i pojechaliśmy do domu. Rano przebudziwszy się widzimy, że śnieg w nocy padał, straciliśmy więc prawie nadzieję odszukania dzików, gdy w tem, wchodzi strzelec, i oznajmia, że pomimo śniegu potrafił się przekonać, że wszystkie trzy sztuki ranione pozostały w Borku Zbydniowskim, i że je niewątpliwie znajdziemy żywe lub martwe. Jedziemy więc z pogonką do lasku, i biorąc wskazane nam zastępy, znajdujemy w istocie wszystkie trzy dziki już nie żywe, które przy odgłosie trąbek wśród ogólnej radości przywozimy do domu. Całe to nocne polowanie trwało zaledwie godzinę, rezultat zaś 4 dziki — może przykładem swoim zachęci innych myśliwych, mających miejscowość w podobnem położeniu do spróbowania tego rodzaju łowów. — Nadmienić tu muszę, że pan Bogusław Horodyński odznacza się bardzo starannie i racyonalnie prowadzonem łowiectwem, a dobrym przykładem i zachętą oddziaływa korzystnie na swoich sąsiadów tak, że stan zwierzyny w naszej okolicy dzięki jego staraniom znacznie się od lat kilku powiększył. Gdyby ogół naszych sąsiadów chciał szczerze opiekować się zwierzyną, moglibyśmy przy sprzyjającem położeniu do ładnych doprowadzić rezultatów. Jako dowód przytaczam ilość sztuk zabitych w lasku

Zbydniowskim w r. 1877/8 podczas ostatniego sezonu polowania na przestrzeni 200 morgów:

Dzików	10	
Rogaczy	7	w lesie na podchodnego
Zajęcy	37	
Kuropatw	64	
Lisów	11	strzelanych i wykopanych
Razem	129	

Ogółem zaś w Zbydniowie i Skowierzynie 2500 morgów przestrzeni — od jesieni do wiosny:

Dzików	10
Rogaczy	7
Zajęcy	153
Lisów	19
Kuropatw	307
Ptactwa błotnego	131
Ptactwa drapieżnego	23
Razem	650 sztuk.

J. P.

Delatyn 24. Czerwca 1878.

Będąc myśliwym z zamiłowania w całem znaczeniu tego słowa, wytknąłem sobie za cel wszędzie, gdzie dotychczas byłem, przedtem jako c. k. leśniczy, obecnie jako nadleśniczy w Delatynie, szanowanie, a przez to rozmnażanie pożytecznego zwierza, kraj nasz bowiem posiada wiele warunków odpowiednich dla zwierzyny. Pierwszem przeto zadaniem mojem było wszędzie usunąć kłusownictwo, poodbierać broń palną niepowołanym posiadaczom tejże, przytem strzelałem i trułem, ile możności drapieżne zwierzęta, a w tym celu dzierżawiłem zwykle polowania na obszarze dworskim, jakoteż gminne, przy czem tyle byłem nieszczęśliwy, iż gdy już prawie byłem u celu, przenoszono mnie na inne miejsce, a owoce mych usiłowań zbierał kto inny, i to taki, który o szanowaniu zwierzyny wiedzieć nie chciał, a nawet wyobrażenia o tem nie miał, a których dewizą było: strzelaj, co przed lufę przyjdzie Takie też stosunki polowania były w Delatynie w r. 1873 w chwili, gdy tam przeniesiony zostałem. Każdy kto tylko jako tako strzelać umiał i miał strzelbę, chodził na polowanie i strzelał co tylko widział; a strzelb było bez liku u kłusowników. Właśnie w tym roku wydzierżawiano polowanie na obszarach gminnych, z których mnie gminy Delatyn, Luh i Łojowa przypadły. Zaraz przy pierwszych polowaniach dostrzegłem, że zwierza jest mało mimo pięknych kniei. Postanowiłem przeto bardzo oględnie przez pięć lat polować, zwierza drapieżnego tępić, a kłusowników ścigać na każdym kroku. Tym sposobem osiągnąłem cel, rozmnożył się bowiem zwierz, lecz kłusownicy zaprzysięgli mi zemstę przy następnem wydzierżawieniu polowania na obszarach gminnych, zmówiwszy się pędzić czynsz wyżej, niż polowanie warte. Jakoż rzeczywiście w d. 19. lutego r. b. zjawiła się zgraja włościan samych kłusowników, z oddalonym od służby c. k. leśniczym Franciszkiem Chauerem i swym Wielebnym gr. kat. proboszczem na czele do licytacyi w c. k. Starostwie w Nadwórnie. Spostrzegłszy to zaprotestowałem przeciw przypuszczeniu do licytacyi kłusowników i Fr. Chauera, ze służby oddalonego c. k. leśniczego, motywując protest przeciw ostatniemu tem, iż tenże będąc jeszcze w służbie tak zwierzynę niszczył, że był za to karany. Mimo to został Fr. Chauer przypuszczony do licytacyi, a za plecami tegoż stojący kłusownicy składali mu poręczne, gdyż nie miał zkąd takowe złożyć. Widząc to odstąpiłem od licytacyi, widziałem bowiem, iż tu odgrywa rolę zawziątek, doniosłem wszakże o wyniku licytacyi c. k. Dyrekcyi lasów i domen w Bolechowie, wyłuszczając dokładnie, jakie grozi niebezpieczeństwo zaszanowanemu w lasach rządowych zwierzostanowi. gdy kłusownicy Delatyńscy z Chauerem na czele przez zadzierżawienie polowania gminnego otrzymają wolność włóczenia się z bronią palną po gruntach gminnych, okalających lasy skarbowe i wchodzących pomiędzy takowe w kształcie długich pasm, na które sarny osobliwie z lasu skarbowego wychodzą. C. k. Dyrekcya lasów i domen w Bolechowie odpowiedziała, bym się starał koniecznie polowanie gminne zadzierżawić. Wniosłem przeto ofertę do c. k. Starostwa w Nadwórnie, obowiązując się w imieniu kameralnego państwa Delatyn, które posiada przeszło 25.000 hektarów lasu, a tem samem największe polowanie, płacić ten sam czynsz roczny za dzierżawę polowania gminnego, jaki Fr. Chauer przy licytacyi oferował. Wskutek tego podania zatwierdziło c. k. Starostwo w Nadwórnie mnie jako dzierżawcę polowania w Delatynie za roczny czynsz 15 złr. Przeciwnicy moi z Chauerem na czele zamierzyli wnieść przeciw temu orzeczeniu c. k. Starostwa rekurs do Wys. c. k. Namiestnictwa, oferując zbyt wysoki czynsz roczny za gminne polowanie nie tylko w Delatynie, ale też w Dorze i Jamnie, przytaczając same fałszywe motywa. Już sam wygórowany czynsz roczny dowodzi, jakie zamiary mają kłusownicy, staraliby się oni powetować, stratę na zwierzynie, wychodzącej z lasów skarbowych, czemu zapobiedz jest niepodobieństwem. Upraszam przeto szan. Tow. łow. o interwencyę u Wys. Namiestnictwa w tej dla zwierzostanu lasów tutejszych wielce ważnej sprawie.

L. K.

Kutkorz 24. Lipca 1878.

Z przykrością przyszło mi zawiesić korespondencyę, na chęci nie zbywało, lecz po powrocie z Rzymu, zajęcia domowe i pozadomowe przykuły mnie do obowiązków, wytrąciwszy pióro z ręki. Skończyliśmy pogadankę naszą na artykule 4-tym rad myśliwskich, więc dziś omówimy w krótkości artykuł 5-ty.

5) Tępienie zwierząt drapieżnych.

Zwykle się dzieje w świecie, iż mocniejszy słabszego przygniata, a koalicya silnych bywa najstraszniejsza. U zwierząt dzieje się to tem bezwzględniej, niema bowiem u nich poczucia sprawiedliwości, któreby wzięło w obronę słabych w obec mnogich i krwi chciwych napastników. Trudna rada — ludek ten pożytecznych zwierząt musi spłacać haracz krwią własną. Tamę temu kładzie jedynie — człowiek, silny rozumem i wolą, poskramiający najdzikszą drapieżność. Lecz w tym względzie zchodzą rozum i wola na bezdroża, a człowiek nadużywając swej przewagi niszczy często bezwzględnie zwierzęta pożyteczne i nie troszczy się wcale o ich byt i przyszłość. Jakżeż często pozbawione są zupełnie spokoju, ochrony, pożywienia, a jednak lubo gnane z miejsca na miejsce i trapione przez licznych napastników, nie opuszczają rodzinnych stron, poddając się z rezygnacyą swemu przeznaczeniu.

Już w poprzednich artykułach mówiliśmy o sposobach ochrony zwierząt pożytecznych przeciw rabusiom w ogólności, dziś pragnę wskazać zwierzęta szkodliwe zwierzostanowi z powodu swej drapieżności. Wilk, lis, ryś, kuna, orły i jastrzębie, są to niebezpieczni satrapowie w naszym świecie zwierzęcym. Zaliczam jastrzębie w ogólności do szkodników, wiedząc z własnego doświadczenia, iż jastrząb brunatny (zwany myszołów)

a nawet sowa, w braku myszy, rzucają się na gołębie, kuropatwy, przepiórki, a przeważnie na młode zające, które to twierdzenie poprę niżej wykazem statystycznym złapanych w samotrzask różnego gatunku jastrzębi i sów. Znani wilk i ryś z swojej drapieżności, nie mam więc powodu obszerniej nad nimi się rozwodzić, tam gdzie który z nich się zagnieździ, przepadła zwierzyna, na szczęście są oni coraz rzadszem u nas zjawiskiem. Lis — ów dyplomata z ujmującą postawą i gładkiem obejściem jest wszędzie, a co gorsze podobnie jak wilk włóczy się z miejsca na miejsce. Mimo obrony, jakiej doznaje u niektórych myśliwych, jabym je do nogi wyniszczył, niechby go wreszcie obrońcy dobrze karmili, może wtedy stałby się ociężałym, sytym i mniej wrogim dla pożytecznych zwierząt. Wyniszczenie lisów sprowadziłoby nieobliczone korzyści w zwierzynie, mnożąc liczbę zajęcy, sarn, kuropatw, bażantów i przepiórek. Nie pamiętam w którym z dzienników czytałem sprawozdanie badacza kuchni lisiej, twierdzi on, iż lisica z dwojgiem młodych potrzebuje dziennie najmniej jednego starego zająca i kilkanaście ptaków, co czyni summę 60 zajęcy przez dwa miesiące na jedną familię, rocznie zaś pojedynczy lis potrzebuje najmniej 200 zajęcy i sarn, oraz drugie tyle ptactwa, aby mógł kuchnię przyzwoicie prowadzić, gdy zaś ma dom otwarty i przyjmuje gości z sąsiedztwa, wtedy podwójnie i potrójnie potrzeby rosną. Radzę więc gorąco truć, łapać na żelaza, wybierać młode z jam, strzelać szczenne lisice z wiosną a przez rok cały niszczyć, gdzie się pokażą. Tę receptę polecam myśliwemu dbałemu o dobry stan zwierzyny pożytecznej w kraju. Kuna leśna podpada temu samemu wyrokowi, jest bowiem równie jak lis wielce niebezpieczną dla mieszkańców lasów. — Orły i jastrzębie, a mianowicie *falco palumbarius* jest najdrapieżniejszy z ptasiego rodu. Rabuś ten wędruje z jednej okolicy do drugiej i tak długo pozostaje, dokąd większej części bażantów, kuropatw, gołębi, przepiórek, nawet zajęcy i młodych sarn nie wyniszczy. Jego wędrówka ku południowym okolicom poczyna się od połowy Października, dziś w Niemczech rzadki ale u nas swobodnie rozpuszcza skrzydła na rozbójnicze wycieczki, którym nikt prawie tamy nie kładzie. Tępienie więc orłów, a szczególnie powyższego rozbójnika jest przeto u nas tem większą koniecznością, iż dotąd nikt jego podróżomanii nie powstrzymywał. Pojedyncze w tej mierze usiłowania nie doprowadzą do pożądanego skutku, wiązać się więc należy wszystkim myśliwym jednym celem ochrony pożytecznej zwierzyny głównie tępieniem drapieżnej, co zresztą tem jest łatwiejsze, że idąc za popędem żarłoczności zapamiętale idzie w postawioną na nią zasadzkę.

Henryk hr. Łączyński.

KRONIKA.

Dnia 8. Lipca b. r., wyszedł Antek Buchta, gospodarz z Zastawia w powiecie Rawskim, z dwojgiem dzieci do lasu na jagody, a gdy już był w głębi lasu, spostrzegł nagle bardzo blisko przemykające dwa stare wilki, a za nimi podążało młode wilczę. Zrazu przerażony i zaniepokojony o siebie i dzieci Antek, wnet ochłonął i pobiegł za młodem wilczątkiem i sporą laską kilkakrotnie je uderzył. Wilczę pobiegło jeszcze kilka kroków, i w krzakach rozciągnęło się martwe. Dodać należy, iż stare wilki widziały Buchtę ścigającego wilczę, a jednak nie stanęły w obronie jego, lecz tem spiesznej umykały. — Delegat Tow. łow. wypłacił Antoniemu Buchcie należną premię 5 złr.

Z pod Janowa. W tych dniach pokazał się tam potężny jeleń, który napastowany przez chłopców, umknął z drogi i ukrył się w pobliskich lasach lub w sitowiu. Tak w przysiołku Zaziry skrył się przed pogonią w sitowiu tamtejszego stawu, w którym tak długo pozostawał, aż napastnicy odeszli. *Gaz. Nar.*

Potoczyska 10. Lipca 1878.

Powiat Horodeński nie obfituje w lasy, jest trochę zarośli na uboczach Dniestru, są małe laski, w których myśliwstwo postępowe i cbów zwierzyny zaledwo się poczyna, a mogą owe niewielkie obszary leśne przy większej staranności dostarczyć wiele przyjemności i korzyści. Leśniczych tu mało, prosty chłop z ułożonym do łowienia młodych zajączków kundysem strzeże lasu i prowadzi zwykle mały handelek z żydami w Czortkowie oddaną w opiekę jego zwierzyną. W całej okolicy jedynie skarb Horodeński, posiadający do 2000 morgów lasu wprowadził postępowe łowiectwo, a br. Romaszkan, zamiłowany i dobry myśliwy polecił Administracyi leśnej, aby całemi siłami dążyła do racyonalnej ochrony zwierzyny. Jakoż pojawiają się już błogie owoce owych rozumnych zarządzeń, po pięciu bowiem latach zaledwo, już zeszłej zimy przezimowano do 300 zajęcy i 17 sarn miejscowych, rozmnożonych z trzech puszczonych do lasu, gdy niedawno jeszcze niepodobna było spotkać się z sarną, a nawet z zającem. Kuropatw tu mało, ale właśnie urządzają się remizy w polach w celu ich rozmnożenia. Dropi bije się zwykle w tych okolicach po kilka sztuk co roku. Błotnego ptactwa z powodu braku moczarów nie wiele. Dzik bywa tylko czasem przechodni Słonek więcej w jesieni jak na wiosnę, w tym roku na wiosnę ubito 11 sztuk. *E. B.*

Pismo czeskie *Haj*, poświęcone leśnictwu i łowiectwu, wychodzące pod redakcyą Jana Doležala w Pardubicach, wezwało Redakcyę „Łowca“ do wymiany wzajemnej pism i do zawiązania koleżeńskiego i przyjaznego stosunku. Z radością przyjęliśmy to zbliżenie się ku nam słowiańskiego pisma i objawiliśmy mu szczerą chęć naszą utrwalenia owego węzła, jakim się z sobą łączymy. Samo pismo *Haj* poświęcone właściwie tylko leśnictwu, a organicznie z niem związane dodatki: *Lovena* i *Domacnost*, pierwsze łowiectwu, drugie mięszanej treści. Pisma te redagowane są starannie. Dołączono zarazem na okaz rocznik z r. 1878 pisma: *Waldhütte. Unterhaltungsblatt flür Forst- und Wajdmänner* wychodzące pod redakcyą J. L. Bayera w Pradze — z prośbą o polecenie go naszym czytelnikom. Czynimy to tem chętniej, ile że przekonaliśmy się, iż zawiera ono nie tylko nader zajmujące powieści, poezye i opisy, osnute na tle przyrodniczem lub łowieckiem, ale też wiele praktycznych wiadomości, gospodarzom na wsi bardzo pożytecznych. Chętnie więc polecamy to pismo czytelnikom naszym, dodając, że cena jest niską, wynosi bowiem 2 talary, a za ubiegłe lata znacznie zniżona. Zapisywać je można za pośrednictwem którejkolwiek z księgarń krajowych.

Polowanie na kaczki. W południowej Litwie, w tak zwanem Polesiu, odbywa się w oryginalny sposób zabijanie kaczek długiemi tykami począwszy od połowy Sierpnia aż do pojawienia się mrozów. Ten rodzaj polowania, jeżeli w ogóle zasługuje on na taką nazwę, odbywa się na małej przestrzeni Litwy, mianowicie w bagnistych okolicach Prypeci. Tu iwina czyli rokicina, owo ulubione pożywienie łosia tworzy śród ostępów leśnych, nakształt wysp po nad moczary wyniesionych, gąszcz nie do przebycia. Rozrosły ten od wieków krzew otacza w bagnach położone, głębokie i zawsze wodą wypełnione niziny, jakby wieńcem ochronnym, niekiedy do 12 stóp wysokości podnoszącym się, w którego wnętrzu zwierciedli się czysty kryształ wody. Te w niektórych miejscach rozlane zbiorowiska wód, zajmują zwyczajnie przestrzeń najwięcej pół morga i mają przy okrągłej najczęściej lub owalnej postaci swojej, w przecięciu 40 do 60 stóp rozległości, a półtora do trzech stóp głębokości i tworzą przestrzeń, na której bicie kaczek się odbywa. Takie zakąty wodne służą kaczkom, gdy z brzaskiem dnia z żerowisk powracają, jako dogodne miejsca, gdzie w nader mnogiej liczbie zapadają, śród igraszek i wypoczynku dzień cały przepędzają, i zkąd wieczorem po zachodzie słońca znowu na żerowiska się zrywają. Zdala od wszelkich siedzib ludzkich, w głębokiej puszczy położone, dostarczają owe miejca kaczkom niezamąconego spokoju, który chyba szukający pożywienia łoś lub spragniony wody niedźwiedź przerwie. Gęsta wiklina jest najpewniejszą ich ochroną przeciw wszelkim czworo- lub dwunożnym wrogom. Człowiek nawet zbliżyć się tam nie może, spostrzegają go bowiem wnet pływające przy brzegu wikla pojedyncze kaczki. Tylko

orzeł łupu chciwy krąży nad tymi moczarami, ale rzadko, a nawet nigdy prawie nie uda mu się chwycić pastwy, w jednej chwili bowiem chronią się kaczki w gąszczach. Łowy na spokojnie w owych zaciszach żyjące ptaki, odbywają się w następny sposób. Nocuje się z ludźmi przeznaczonymi do bicia kaczek w pobliżu wskazanego miejsca, a w dobrą godzinę przed wschodem słońca ruszają myśliwi w jak największej ciszy na oznaczone miejsce. Przybory składają się z laskowej lub sosnowej tyki i z worka zawieszonego około szyi, w który wrzucają się zabite kaczki. Długość tyki zawisła od objętości przestrzeni wodnej, dosięgać bowiem należy tyką z brzegu niemal w sam środek. Tyka nie powinna być bardzo giętka, aby można szybko raz po razie nią uderzać i ile możności z mocnego, suchego drzewa, by nie łatwo się złamała. Wystarcza grubość przy ujęciu półtora do dwóch cali, długość zaś 10 do 14 stóp. Myśliwi ustawiają się w wiklinie obok siebie nieco dalej, jak długą jest tyka, aby nią sąsiadów swoich nie dosięgnęli. Każdy trzyma tykę oburącz pochyloną ku prawej stronie w kierunku swego sąsiada. W takiej postawie wyczekują wszyscy w zupełnej ciszy zapadania kaczek, które się z brzaskiem dnia rozpoczyna. Gdy wiatru nie ma, słychać zdala nadciągające sznury kaczek. Z powodu szybkiego ciągu i stosunkowo małego miejsca do zapadania, spuszczają się po nad wikliną nader gwałtownie na powierzchnię wody, wachlując jak zwykle skrzydłami. Lecz jeszcze w powietrzu witają je spadające ze wszystkich stron tyki, a ofiara przy tak gwałtownem zapadaniu nie jest w stanie napowrót w górę się zwrócić. Co nie pada śmiertelnie ugodzone w powietrzu, to znajduje śmierć już na powierzchni wody lub w chwili ratowania się ucieczką, chyba że rychłe nurkowanie od zguby którą ocali. Dogodną jest prócz długiej tyki inna krótka kilka stóp długości, którą dobija sie bliżej pływające wynurzające się, ogłuszone lub skaleczone kaczki, czego długą tyką dokonać nie można. Pobite kaczki ściągają się z wody, żywym jeszcze skręcają się karki i wrzucają do worka. Ponieważ przy zapadaniu zwykle skrzydła bywają uderzeniem tyki ubezwładnione, przeto wiele nurkowaniem się ocalają i chowają w gęstej wiklinie. Należy więc po ukończeniu polowania przeszukać wiklinę za pomocą silnego i wytrwałego psa, który zwykle znaczną liczbę kaczek znajduje. W czasie polowania unikać należy niepotrzebnego hałasu, który płoszyłby świeżo nadciągające kaczki. Opuszczanie stanowiska w celu chwytania pobitych a jeszcze żywych kaczek najsurowiej jest wzbronione. Każdy pozostaje na oznaczonem miejscu i spokojnie wyczekuje. Po pierwszem zapadaniu następują zwykle inne szybko po sobie, częstokroć tak szybko, iż nie ma czasu do zbierania kaczek. W takim razie cała powierzchnia wody przedstawia dziwny chaos zabitych, pokaleczonych, nurkujących i wynurzających się kaczek. Podobne łowy trwają tak długo, aż jasność dnia stanie się przyczyną coraz słabszego i rzadszego zapadania, które wreszcie zupełnie ustaje. Poczem zarządza się przeszukiwanie wiklin, i bogatą obciążeni zdobyczą ciągną myśliwi ku nocnemu schronieniu swemu, gdzie zmieniają przemoczoną odzież i przy ognisku ogrzewają skostniałe od zimna ciało. Przy trzech, czterech stopniach, a czasem przy 0 Reaumura godzin kilka po pas stać w wodzie i nieustannie długą i ciężką wywijać tyką — jest rzeczą nader utrudzającą i nie każdy wytrwać potrafi. Pobite kaczki jeżeli na inny cel nie są przeznaczone, bywają zaraz na miejscu skubane, oczyszczane, solone a później wędzone. Zwierzyna ta jest w owej porze oblana i smaczna. Przy pomyślnym targu daje jedno takie polowanie podziwienia godny dochód. Zdarza się często, iż w jednym poranku dwudziestu ludzi pobije 300 do 400 kaczek. W całej porze ciągu pada zwykle 2 do 3 tysięcy sztuk tej zwierzyny. Takie łowy odbywają szczególnie chłopi i strażnicy leśni. Najlepsze stanowisko jest naprzeciw ciągu kaczek. Tu przy zapadaniu zbliżają się one najbardziej do ustawionych ludzi i ztąd najsnadniej widzieć je można. Dziwne, iż tylko wyjątkowo padają ofiarą takiej zasadzki *anas boschas i anas crecca*, które zwykle nie tylko osobno, ale też skupione zapadają. Rzeczą jest zrozumiałą, że takie łowy nie mogą być co dzień na jednem miejscu urządzane. Przerwa sześciu lub ośmiu dni jest konieczną, albowiem po takim dopiero upływie czasu odważą się kaczki nawidzać znowu owe zaniepokojone miejsca. Chłopi nazywają owe zapadliska sadami, i strzegą takowych na swoich gruntach troskliwie, aby nikt obcy z nich łowczego użytku nie ciągnął.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

WRZESIEŃ.

Łoś. Ruja trwa do końca miesiąca, po której ciągnie w okolice górzyste, wodami nie zalane. U młodych łosiąt guzy rogowe przy końcu miesiąca na jeden cal bywają wysokie. Jeleń. Łanie z powodu bekowiska zgromadzają sie i przechodzą w wielkie lasy, a każda szuka zwyczajnego do tego miejsca. Stare rogacze z największym zapałem bekają się. Jednakże do połowy miesiąca można strzelać rogacze, a młode łanki i cielęta jeszcze dłużej. Sarny szukają pożywienia w polach jarych i koniczyną zasianych, i jeszcze na pobrzeżach lasu w krzewinach utrzymują się. Dzikie świnie żywią się jeszcze zbożem w polu i owocem dzikich drzew, lubią także kopać korzonki na łąkach i zbierać dojrzały owoc w polu. Chowają się w gęstwinach. Zajęcy parkocenie w tym miesiącu ustaje, a kocenie się ich trwa jeszcze. Żyją polnym owocem. Kiedy sucha pora, rade jeszcze siedzieć w zbożu na polu znajdującem się, jakoto w tatarce i owsie. Niedźwiedź grzeje się. Wilk doprowadza młode do zdobyczy, i wielką między bydłem czyni szkodę. Mniejsze drapieżne zwierzęta żywią się łupem i owocem drzew dzikich, które również jak rzepa polna najlepszem są dla borsuka pożywieniem. Odpędzają od siebie dzieci, które już same żywić się i nowe siedlisko obrać sobie muszą. Głuszec, cietrzew i jarząbek żywią się jeżynami, malinami, borówkami i kaliną i szukają zimowych siedlisk. Kuropatwy, przepiórki i skowronki szukają pożywienia na polach i w ogrodach. Kuropatwy przesiadują po większej części w krzakach. Dzikie kaczki napadają na pola.

Utrzymanie zwierzyny i polowanie. Gdzie jelenie znajdują się, nie można polować z psami, aby nie psuć bekowisk. Na początku tego miesiąca strzela się stare rogacze, kozły, zające, kuropatwy i dzikie kaczki. Od św. Michała zaczyna się strzelać lisy, kuny, żbiki, borsuki, także obławy na wilki rozpoczynają się. Jarząbki można wabić na strzał, lecz nie tak chętnie jak w Marcu przychodzą. Można także polować na słonki, bekasy i łowić ptaki. Rozpoznać należy, wiele żołędzi i buczyny na żer dla zwierzyny pozostawić trzeba.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.